ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK VII. Nr 39/327

LONDYN, 27 WRZEŚNIA 1953 R.

JAN BIELATOWICZ

RADIOSTACJA WOLNEJ EUROPY

Najstarsze kroniki bawarskie mówią, że na północ od dawnego Monachium rozciągały się zdradliwe bagniska, pokryte lasem. Niemcy mają słabość do zmieniania bagnisk, takich jak Dachau, w obozy lub w pola do defilad. Toteż na przełomie wieków XVIII i XIX królowie bawarscy odebrali kaczkom i sarnom schronienie nad Izarą. ale tym razem osuszyli bagnisko pod Monachium nie dla celów dworskich ni militarnych. Założyli tam natomiast



Zdjęcie lotnicze kompleksu budynków Radiostacji Wolnej Europy w Monachium.

By courtesy of RFE.

ogromny park publiczny, na wzór angielski, z krętymi alejami, z potokami i jeziorem oraz drzewami i krzakami w stanie dzikim. Największy ten park w Niemczech nazwano „Angielskim Ogrodem".

Amerykanie uwielbiają otwarte przestrzenie i niezabudowane tereny. Kiedy więc zajęli Monachium, jasnym się stało, że Ogród Angielski nie będzie pominięty w ich planach. Budownictwo współczesne, zwłaszcza architektura gmachów publicznych, z zewnątrz przypomina baraki, a od wewnątrz twierdze. Kompleks budynków radiostacji Wolnej Europy od strony parku mile wabi oko byłych wojskowych i przypuszczalnie budzi niesmak cywilów, jeśli ten gatunek ludzi w ogóle przeżył drugą wojnę światową.

Wewnątrz — zarówno w architekturze, jak w obyczajach i typie pracy panuje wojsko. Różnie się określa współczesną cywilizację: jako etatystyczną, atlantycką, amerykańską, zamerykanizowaną itp., ale nikomu bodaj nie wpadło do głowy, że obecna faza kultury świata należy do wojska. My żołnierze rządzimy światem i wyciskamy piętno na charakterze całej ludzkiej działalności. Jeśli nie my, to w każdym razie żołnierze.

Amerykanie, to są rzymskie legiony XX wieku. Niosą cywilizację na blachach pancerników, czołgów i bombowców. Gdzie tylko stanie ich stopa, powstają castra — obozy, z których promieniuje „Pax Americana".

Otóż Radiostacja Wolnej Europy jest to ogromne „castrum", baza wypadowa do olbrzymiej operacji na wschód. To jest tego przedsięwzięcia główny cel i istota. Wszystko inne, to tylko szczegóły drugorzędne i przypadkowe. Stąd też organizacja i styl pracy Radiostacji noszą piętno wybitnie wojskowe.

Radio to nowa broń XX wieku, służąca celom łączności, wojny psychologicznej i gospodarczej. Jest to królowa broni zimnej wojny. Radio nie zabija ciał, ale zabija i rani tysiącami dusze. Amerykanie są zdania, że ich radio może wyrwać z sowieckiej orbity całe narody. Łożą więc na nie i traktują je na równi z wysiłkiem zbrojnym, wedle zasad ekonomii wojennej: im drożej, tym lepiej. Robotę zaś radiową prowadzą wedle najnowszych zasad, z zastosowaniem pomysłowych wynalazków, z precyzją i naukową metodycznością. Nie cierpią fantazji i improwizacji, uważając radio za tak samo precyzyjną broń, jak radar lub działo.

Przejdźmy do faktów. Przedni skraj pozycji bojowych Radiostacji Wolnej Europy biegnie przez kontynent europejski. Cztery główne kompleksy instalacji znajdują się na terenie Niemiec, jeden w Portugalii. Kwaterą główną operacji jest budynek w monachijskim Ogrodzie Angielskim. Daje on pomieszczenie dla biur i 22 radiowych studio, dla administracji, archiwów, placówek programowych i informacyjnych oraz dla tzw. produkcji, czyli reżyserów i techników nagrań i programów. W twierdzy tej, którą wybudowano za około 200 tysięcy funtów, pracuje 1200 osób personelu. Wejść broni specjalna policja i czujne sekretarki niemieckie.

Laicy mają w swoim słowniku tylko jeden wyraz na określenie niezrozumiałych zdobyczy technicznych: fantazja. Otóż drugie gniazdo bojowe Radiostacji Wolnej Europy w Niemczech — stacja odbiorcza i tzw. monitoringu w Schleissheim pod Monachium, jest fantastyczna. Nie widzi się tam prawie ludzi, lecz długie rzędy maszyn myślących, słuchających, zapisujących, rejestrujących, kopiujących, kontrolujących, tłumaczących. Spod ich podsłuchu nie wymknie się najmniejszy pisk żadnej radiostacji w sowieckiej strefie świata. Notują również wszystkie doniesienia agencyjne i depesze własnych korespondentów, programy ze Stanów Zjednoczonych i z Zachodu Europy. Sekunda po sekundzie z wnętrza tych przedziwnych maszyn płyną zwoje papieru i metalu, popstrzone różnymi charakterami technik zapisywania. Stacja nasłuchowa w Schleissheim uchodzi za najlepiej urządzoną i najlepiej położoną w świecie.

Trzy dalsze pozycje — właściwe rozgłośnie (transmitters) mieszczą się w Holzkirchen i pod Mannheim w Niemczech oraz w stolicy Portugalii, Lizbonie. W sumie RWE rozporządza 24 rozgłośniami od 10 do 135 tysięcy kilowatów. Ta ostatnia, na fale średnie, jest trzykrotnie silniejsza od najsilniejszej rozgłośni w Stanach Zjednoczonych i najsilniejsza w Europie. Specjalny system anten zwiększa siłę rozgłośni od 5 do 42 razy. Stąd rozgłośnia o mocy 50.000 kilowatów może osiągnąć efekt dwumilionowej. Siła rozgłośni RWE potrzebna jest do walki z metodycznymi zagłuszeniami sowieckimi.

Z tych to potężnych rozgłośni przez dzień i noc (program w sześciu językach trwa łącznie przez 57 godzin w ciągu doby) płyną za żelazną kurtynę fale głosu wolności.

Urządzenia techniczne przystowane są do walki, a więc ruchome i elastyczne, a technicy posiadają na swe usługi szereg udoskonaleń i tajemnicą strzeżonych sposobów transmisji. Radiostacja Wolnej Europy może m. in. transmitować ten sam program na kilku wiązkach krótkich fal i na falach średnich równocześnie. Polski program nadają cztery rozgłośnie.

Z rozgłośnią Wolnej Europy toczą zażartą wojnę Sowiety. Audycje RWE są ze wszystkich stacji zachodnich zagłuszane najzacieklej. Istnieje co najmniej 12 wielkich rozgłośni za żelazną kurtyną (prawdopodobnie w Rosji), poświęconych wyłącznie zagłuszaniu Radia Wolnej Europy. Zagłuszanie krótkich i średnich fal nie jest jednakże sprawą łatwą. Specjalne urządzenia zmniejszają lub zwiększają ich częstotliwość. Aby chociaż w części skutecznie zagłuszyć jedną rozgłośnię, trzeba jej przeciwstawić również co najmniej jedną rozgłośnię. Aby w pełni zagłuszyć jedną rozgłośnię, trzeba mieć do dyspozycji kilka przeciw niej pracujących. Aby więc zagłuszyć cały system rozgłośni RWE, trzeba by zbudować ogromną sieć radiostacji, co pociąga krociowe wydatki. Problem ten wprowadza nas w nową dziedzinę — zimnej wojny gospodarczej. Walka z radiem Wolnej Europy kosztuje Sowiety ogromne sumy. Dość powiedzieć, że zagłuszanie małego programu bułgarskiego pochłania tyle energii elektrycznej w tamtym kraju, iż w Bułgarii wprowadzono racjonowanie prądu.

Zagłuszanie Wolnej Europy jest dla słuchaczy nieprzyjemne, ale dalekie od pełnej skuteczności. W walce z zagłuszaniem Amerykanie wypróbowują pewne wynalazki oraz po prostu rozbudowują sieć rozgłośni. Do tego celu potrzebne są oczywiście pieniądze. Budżet RWE wynosi około 4 milionów dolarów rocznie.

Ale właśnie. Skąd się biorą pieniądze na cele radia Wolnej Europy?

„Radio Free Europe" jest gałęzią amerykańskiego Narodowego Komitetu Wolnej Europy, który działalność swoją określa jako „Krucjatę Wolności". Jest to organizacja społeczna, nie państwowa, czerpiąca środki z publicznych składek obywateli Stanów Zjednoczonych A.P. Założycielami jej są generał Lucius D. Clay, b. wysoki komisarz dla Zachodnich Niemiec i Henryk Ford II, szefem propagandy jest obecnie Charles E. Wilson, b. minister moblilizacji. „Krucjata Wolności" zaczęła swą działalność w grudniu 1949, nakreślając sobie jako cel wojnę psychologiczną z Sowietami, w szczególności przez oddziaływanie na kraje okupowane za żelazną kurtyną. Pierwsze kroki „Krucjaty" były po amerykańsku oryginalne i po amerykańsku zabawne: „dzwon wolności" w Berlinie i „baloniki wolności" szybujące z ulotkami na wschód. Ale w lipcu 1950 zaczęła działać pierwsza rozgłośnia we Frankfurcie. „Krucjata" prowadzi również akcję na Azję przez „Radio Wolnej Azji". W Europie projektuje rozbudowę dalszych rozgłośni w Atenach i Stambule.

Skład personalny obecnego zarządu Komitetu Wolnej Europy przedstawia się następująco: Joseph C. Grew, przewodniczący Rady, C. D. Jackson, wiceprzewodniczący, John C. Hughes, przewodniczący egzekutywy, Whitney H. Shepardson, prezes.

Cele RWE najpiękniej określił Prezydent Eisenhower, w inauguracyjnym programie radiostacji, dnia 11 listopada 1952. Oto wyjątki z tego przemówienia:

„Celem Krucjaty Wolności jest dać każdemu obywatelowi kraju środki do osobistej walki z komunizmem."

„Każde nazwisko na długiej liście ofiar komunizmu jest wyrzutem sumienia dla wolnego świata. W ciągu dwu ostatnich lat miliony ludzi słyszało nieskończoną ilość kłamstw komunistycznych, których celem było sianie nienawiści przeciw nam. W tym samym czasie komuniści wbijali bezustannie w głowy dzieci, że ich obowiązkiem jest szpiegować rodziców. Mówiono im, że historia o Bogu i Jego Męce jest bajką, wymyśloną po to, aby zniewolić umysły narodów upadającej demokracji Zachodu."

„Pierwszym celem jest czynne przeciwdziałanie komunizmowi — zwalczanie wielkiego kłamstwa wielką prawdą. Instrumentem tego działania jest Radio Wolnej Europy... Jest to własność prywatna i posiadająca swobodę słowa. Potrzebuje jednak silniejszego głosu, który jej dać może pomoc narodu amerykańskiego."

„Wolność nie może być trwała dla żadnego narodu, nawet najpotężniejszego, jeśli jej nie ma w innych częściach globu... Podstawowym warunkiem utrzymania wolności własnego narodu jest podtrzymywanie wolności innych narodów..."

„Naród wierzy w kłamstwa tylko wówczas, jeśli nie ma sposobności słyszeć prawdy."

„Człowiek może być zmuszony do trzymania karabinu, lecz dopokąd posiada on własne idee, jego panowie nie mogą być pewni, czy ta broń nie będzie zwrócona przeciwko nim."

„To dzieło ma służyć nie tylko innym narodom w ich drodze ku wolności — służy ono też najlepszym interesom Stanów Zjednoczonych. Pomoc Krucjacie Wolności jest pomocą własnej umiłowanej ojczyźnie."

Tegoż dnia, co Prezydent Eisenhower, przemawiał przez RWE także gubernator A. Stevenson. Położył on nacisk na prywatność i niezależność inicjatywy. „Voice of America" — mówił Stevenson — jest radiostacją państwową, finansowaną z funduszów publicznych, przeznaczoną do rozpowszechniania wiadomości o oficjalnej polityce i skutkiem tego skrępowaną w swojej działalności." Radio Wolnej Europy jest natomiast organizacją, na którą nie idzie ani grosz z pieniędzy publicznych, która nie jest kierowana oficjalnie i nie jest bronią państwową w swojej operacji.

Cel RWE określili założyciele jako: „podtrzymanie nadziei na odzyskanie wolności przez narody i swobody przez jednostki oraz jako zachętę do ewentualnego przyłączenia się narodów zza żelaznej kurtyny do wolnego świata." Nie ukrywają też kierownicy „Krucjaty Wolności", że pragną, aby przez Radio Wolnej Europy były propagowane ideały amerykańskie i amerykański sposób myślenia.

Aby zrozumieć sens założeń Radiostacji Wolnej Europy, trzeba najpierw zrozumieć samego siebie, wiedzieć, czego się chce. Ludzkość ma do wyboru trzy drogi: światowe rządy Sowietów, światową hegemonię Stanów Zjednoczonych albo dotychczasowy system polityczny, polegający na wzajemnym wyrzynaniu się narodów co lat 20. Quartum non datur. Im jakiś naród prędzej zrozumie, że jego przyszłość i bezpieczeństwo leży w świadomym oparciu o Stany Zjednoczone, tym szczęśliwszy. Wszystkie inne koncepcje są wierzganiem przeciwko ościeniowi rzeczywistości. Na razie narody europejskie tkwią w biernym oporze. Nikt w Europie nie pragnie hegemonii światowej Stanów, gdyż Europa zapatrzona jest w historyczne mity. Stara Europa jest mitomanką. A już Polacy za mity daliby się porąbać. Toteż i niechęć wobec gigantycznej operacji zimnej wojny, jaką jest Radiostacja Wolnej Europy, jest zwyczajną mitomanią.

Jest rzeczą zdumiewającą, skąd w narodzie tak młodym, jak Amerykanie, bierze się tyle umiaru i mądrości, że potrafili ekipy najbardziej trudnych narodów zebrać w murach jednego budynku w Angielskim Ogrodzie i stworzyć wspólny i zgodny rytm pracy sekcji: polskiej, węgierskiej i czechosłowackiej oraz ekip bułgarskiej, rumuńskiej i albańskiej. Zważywszy ponadto, że w RWE pracuje przeważająca ilość techników niemieckich, a inni pracownicy należą aż do szesnastu narodów, można stwierdzić, że oto pod egidą amerykańską udało się urzeczywistnić doświadczalną utopię europejskiej wspólnoty. Słowem RWE jest nie tylko pozycją do walki z komunizmem i Sowietami, ale również awangardą zjednoczonej Europy. Radiostacja Wolnej Europy jest jedynym udanym owocem w syzyfowym sadzie europejskiej wspólnoty. Amerykanie skłonni są do przesady w ocenie tego eksperymentu, ale trochę racji mają. Jest faktem bezspornym, że Europejczykom potrzeba nadrzędnego kierownictwa, które potrafi dostrzec raczej ich wspólnotę, niż różnice. Ratunek Europy leży w jej zrozumieniu. A zrozumieć Europę potrafią tylko Amerykanie.

Najbardziej faworyzowaną sekcją w RWE jest czechosłowacka. Jej ekipa jest najliczniejsza i jej dzienny program najdłuższy (blisko 20 godzin). Na drugim miejscu liczebnie idą Węgrzy, programowo Polacy (17 godzin na dobę). Ekipa dziennikarzy, speakerów i reżyserów w sekcji polskiej w Monachium składa się z około 80 osób. Do tego trzeba doliczyć zespół redaktorów i pomocników w Stanach Zjednoczonych (bodajże 20 kilka osób), skromniutką grupkę londyńską (kilka osób) i kilkunastu korespondentów w różnych krajach.

Trzy czwarte programu nagrywa się wcześniej na taśmy, bezpośrednio nadaje się tylko dziennik radiowy. Pewne audycje nadawane są na krótkich falach z Nowego Jorku i poprzez monitoring w Schleissheim bezzwłocznie przekazywane przez RWE dalej. Około północy wszystkie dwadzieścia cztery rozgłośnie są przez pół godziny kierowane kolejno na Czechosłowację, Węgry i Polskę. Utrwalone na taśmach programy radiostacji „satelickich" są natychmiast preparowane przez RWE i poddawane polemikom.

Amerykanie wychodzą z założenia, że duże ekipy stałych pracowników poszczególnych sekcji, w oparciu o własny, doskonały monitoring, nowojorską „stację zaopatrywania" i sieć korespondentów, powinny być zdolne do prowadzenia wszechstronnej walki ideowej. W tym też celu, obok redaktorów, pisarzy, speakerów i reżyserów utrzymują w sekcjach licznych bibliotekarzy i archiwistów. Dział archiwalny rozpada się na trzy części: czasopisma, książki i biuro studiów. RWE prenumeruje ponad 1200 różnojęzycznych czasopism, a stale rosnąca biblioteka posiada blisko 20 tysięcy tomów. Osobne archiwum stanowią taśmy z nagraniami. W obecnej chwili RWE przechowuje ponad 10 tysięcy takich taśm.

Programy trzech dużych sekcji, t.j. polskiej, węgierskiej i czechosłowackiej są bardzo do siebie zbliżone. Ogólnie można je podzielić na cztery rodzaje: polityczne, rozrywkowe, oświatowe i kulturalne. (Dokładny wykaz audycji przynosi „Polski Biuletyn Radiowy", wydawany w Szwajcarii, a będący do zaprenumerowania w Katolickim Ośrodku Wydawniczym Veritas.) Różnice są raczej w poziomach programów. Węgrzy posiadają mocną ekipę intelektualistów. Czesi muzyków i aktorów (Jara Kohout, najpopularniejszy czeski satyryk, Josef Stellibsky, Lehar Pragi), Polacy uważają się za tęgie mózgi polityczne, a zwłaszcza za niezrównanych sowietologów.

Kraj słucha programów Radiostacji Wolnej Europy chętnie. W ciągu niespełna roku na adres RWE nadeszło blisko pół tysiąca listów, przeważnie przychylnie oceniających audycje „Głosu Wolnej Polski". Listy i inne dowody popularności RWE w Polsce dalekie są oczywiście od entuzjazmu i nie trzeba sobie wyobrażać, aby Kraj usychał z tęsknoty za słuchaniem radia monachijskiego. Takich fanatyków bodaj łatwiej znaleźć na Zachodzie. Niemniej RWE jest już w świadomości Polaków instytucją informacyjną, której brak stanowiłby poważne osłabienie autorytetu państw zachodnich w Polsce. Radiostacja Wolnej Europy, nawet niesłuchana, jest przez Kraj uważana za gwarancję, że Stanom Zjednoczonym zależy na narodach ujarzmionych przez Sowiety. Zlikwidowanie RWE byłoby wobec narodów podbitych samobójstwem politycznym i moralnym Amerykanów. Radiostacja Wolnej Europy dla Polaków w Kraju znaczy po prostu, że Stany Zjednoczone o Polsce nie zapomniały i nad jej losem nie położyły krzyżyka. Nić radiowa jest ostatnią więzią między narodem polskim a Stanami Zjednoczonymi. Jeśli można Polskę porównać do osamotnionej twierdzy, wolnej tylko od wewnątrz, w duszach, broniącej się przeciw komunistycznej nawale, tedy radio monachijskie jest jakby przednią strażą zbliżającej się odsieczy.



Gwiazdka dla dzieci polskich staraniem sekcji polskiej RWE.

By courtesy of RFE.

Sekcja polska pracuje na ogół dobrze, wykonując tylko, zgodnie zresztą z charakterem narodowym, zbyt wiele szumu dokoła siebie i stanowczo za wiele nieskoordynowanych ruchów. Kiedy się odwiedzi Polaków w Angielskim Ogrodzie, w oczy rzuca się przede wszystkim niezwykła krzątanina, jak w kopcu mrówek. Wszyscy tam biegają z piętra na piętro, od pokoju do pokoju, od studio do studio. Na miejscu nigdy nikogo zastać nie można. Spokojnie i przytomnie zachowują się radioci polscy tylko w kawiarni. Natomiast czytelnia, biblioteka i biuro studiów świecą z reguły pustką (co także oznacza, że Węgrzy i Czesi nie gorliwsi). Wszyscy Polacy są stale zaaferowani, niespokojni, przemęczeni, pełni inicjatyw i dosadnej krytyki, ale nie mogący podołać własnej jednokwadransowej audycji w tygodniu. Bieganiną zastępują pracę, troskami — pilność. Postawienie Berii pod moskiewski sąd wywołało w sekcji coś w rodzaju pożaru w mrowisku. Z kwasem pomysłów biegali nie tylko redaktorzy słuchowisk młodzieżowych, ale gruba chmura troski siadła także na czołach specjalistów od lekkiej muzyki i przeglądów sportowych.

Tej gromadzie wybrańców brak ptasiego mleka. Bodaj niewielu jest wśród Polaków w RWE osób, którym by się śnił obecny dobrobyt. Żyją, jak na naszą polską biedę, w warunkach luksusowych i — co ważniejsze — łatwych. Nie mając żadnych kłopotów materialnych, ludzie ci, niestety, uważają, że to wszystko im się należy, nie zaś, że za to trzeba dać równowartość wysiłku. Stąd dumne przeświadczenie, że stanowią elitę, że są solą ziemi, że mają prawo z góry spoglądać na „londyńczyków", nie mówiąc już o jakichś „dipisach". Tak sądząc, popełniają duży błąd, gdyż w istocie poza nielicznymi jednostkami sekcja polska nie świeci ani nadmiarem wybitnych talentów, ani kruszcem fachowej wiedzy, ani złotem charakterów. Wiele w niej natomiast fanfaronady, blichtru, reporterskiej tandety i taniutkiego aktorstwa. Aktorów można spotkać w sekcji polskiej tłumami. Ktoś chyba poinformował Amerykanów, że Polacy, to naród aktorów. Może nawet miał rację.

Sekcja polska ma na szczęście doskonałego kierownika. Jan Nowak, o nim bowiem mowa, to przede wszystkim wypróbowany żołnierz, dzięki czemu wczuł się on doskonale w plan operacji i w ducha wojskowego placówki. Posiadając najlepsze cechy żołnierskie, ma poza tym twardy charakter i kulturalną wrażliwość. Bojowy, lecz nie fanatyczny, dokładny a nie drobiazgowy, wrażliwy na kulturę, ale i pragmatysta, jest to najwłaściwszy człowiek na właściwym miejscu.

Poza nim jest w RWE trzech pisarzy (Grudziński, Nowakowski, Palester), kilku dziennikarzy, europejski reżyser (Radulski), dużej klasy aktor (Modrzeński), uroczy piosenkarz (Markowski), kilku poważnie pracujących specjalistów (prof. Sukiennicki, Stypułkowska, Piszczkowski, Celt), paru uskrzydlonych wołów w produkcji (Jasiewicz, Sowiński), no i złoty kapelan, ks. Tadeusz Kirschke, najbardziej popularna postać w Angielskim Ogrodzie. Amerykanie z RWE chcąc sprawić przyjemność nowopoznanym Polakom zaczynają od słów: „I am not a Catholic myself, but I like very much Father Kirschke".

Program sekcji jest taki, jak ludzie: średni, z kilku wysepkami ideału. Gust słuchaczy jest zresztą nierówny. W Kraju najbardziej podoba się kabaret Budzyńskiego (zdolnego też do rzeczy pierwszorzędnych) oraz „latający reporter", który niefrasobliwym tonem sprawozdań z boiska sportowego okrzykuje manifestacje religijne, kongresy naukowe i wystawy sztuki. Biskup w infule napawa go takim samym entuzjazmem, jak piłka w siatce. Kulturalny walor posiadają jednak tylko programy Grudzińskiego i Palestra, literacki — Tadeusza Nowakowskiego, nieco zafascynowanego powodzeniem „latającego reportera".

Ocena autorów spoza stałej ekipy zaprowadziłaby zbyt daleko. Można tylko stwierdzić, że tzw. rozmowy przy okrągłym stole, nadawane przez pisarzy z Nowego Jorku, są nieporozumieniem.

Budynek Radiostacji Wolnej Europy od wewnątrz przedstawia się jak twierdza. Żołnierze wiedzą, że twierdza, to nie schronienie, lecz ognisko walki. Nie schronienie, lecz ognisko walki.

Jan Bielatowicz

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Ilość mieszkańców Państwa Watykańskiego. Według ostatniego spisu ludności Państwo Watykańskie (Citta del Vaticano) liczy 750 mężczyzn i 281 kobiet. Ludność należy do 15 narodowości.

Przykład pracy dla nawrócenia Anglii. W wieku lat 78 zmarła w Aberavon, Port Talbot, w archidiecezji Cardiff, p. Helen Barry, która przez więcej niż 60 lat przygotowywała konwertytów.

Powieść narzędziem walki z Kościołem. W zrozumieniu wielkiego wpływu, jaki powieść wywiera na czytelników, komuniści w Polsce starają się także i powieść wprząc w służbę komunizmu. Pisma komunistyczne w Polsce zachwalają ostatnio powieść Jana Wiktora „Papież i buntownik". Jak na powieść komunistyczną przystało, Jan Hus wyrasta na postępowego bojownika o prawa dla ludu, a współczesny mu świat katolicki wraz z papieżem przedstawiony jest jako świat ciemnoty, wyzysku i krzywdy. Cała powieść jest ubrana w rekwizyty propagandy komunistycznej.

Rycerze Kolumba. Stowarzyszenie Rycerzy Kolumba w Stanach Zjednoczonych oddało Ameryce i innym krajom wybitne usługi w uświadamianiu ludności o niebezpieczeństwie, jakie stanowi dla wolności wszystkich narodów ateistyczny komunizm. Rezolucja tegorocznego zjazdu tej organizacji, liczącej ponad 870 tysięcy członków, domaga się umieszczenia w przysiędze państwowej wyrażenia „wobec Boga", jako „źródła wszelkiej legalnej władzy oraz przyrodzonych praw człowieka", ponadto postanawia wzmożenie walki z pornografią i rozbudowanie potężnego już działu informacyjnego.

Organizacja katolickich filozofów. W Lowanium z racji odbywającego się XI kongresu filozoficznego odbyło się walne zebranie Światowej Unii Katolickich Stowarzyszeń Filozoficznych, na którym przedstawiono dokładny stan wielkich międzynarodowych organizacji filozofów i działalność katolickich myślicieli. Do nowego zarządu Unii weszli m. i. rektor Wyższego Instytutu Filozofii w Lowanium, mons. L. de Raeymaeker, jako prezes, o. I. M. Bocheński, profesor uniwersytetu fryburskiego, jako sekretarz generalny. Światowa Unia Katolickich Stowarzyszeń Filozoficznych jest obecnie jedną z największych organizacji filozoficznych świata: w dwudziestu krajach liczy około 1.000 członków.

Wobec prozelityzmu protestanckiego. Celem przeciwdziałania protestanckiej działalności misyjnej w Ameryce Łacińskiej zorganizowany został w języku hiszpańskim program transmitowany przez 96 stacyj poza terenem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i przez 804 stacje tychże Stanów.

Katolicy przeciw atmosferze islamistycznej w szkołach katolickich. Minister wychowania w Pakistanie, Kazi Mohamed Akbar, wypowiedział się za wprowadzeniem w szkołach chrześcijańskich nauczania doktryny Islamu. Wobec tego oświadczenia katolicy wyrazili swój kategoryczny sprzeciw, zaznaczając, że podobne dążenia w latach poprzednich zawsze spotykały się ze stanowczym „nie". Pisze o tym także pakistański organ katolicki „The Christian Voice", stwierdzając, że katolicy nigdy nie poddaliby się takim zarządzeniom.

SUKCES „TEATRU AKTORA"

W następnym numerze omówimy obszernie sztukę Moliera „Grzegorz Dyndała", która przypomniała publiczności emigracyjnej, że prawdziwy teatr polski istnieje dalej na obczyźnie. „Grzegorz Dyndała" jest wielkim sukcesem sceny emigracyjnej.

W następnym numerze również omówimy doskonały koncert muzyki I. J. Paderewskiego, urządzony przez Z.A.S.P. w dziesięciolecie działalności poza Krajem.

NASTĘPNY NUMER „ŻYCIA"

będzie zawierał dodatek „ŻYCIE KRAJU" i liczył będzie 6 stron objętości. Cena 1/6.

WYDAWNICTWA SPK

Na sezon jesienny i zimowy dla teatrów amatorskich polecamy sztuki teatralne między innymi: W. Budzyński: „VILLA ESPERANZA (Miasteczko nadziei)". Jednoaktowa sztuka współczesna **na obchody 11 listopada** — 2/6. W. Budzyński: „BABCIA WINNA". Pełna humoru i rodzimego sentymentu jednoaktowa komedia emigracyjna — 3/-. N. Sądek: „KWATERA NAD ADRIATYKIEM" 4/-. N. Sądek: „MARKIETANKI" — 4/-. Sztuki trzyaktowe o doli i niedoli żołnierza polskiego we Włoszech. W. Budzyński: „NOC PRZEMINĘŁA". Sztuka w 3 aktach **o Bożym Narodzeniu w Kraju**. — 4/-. Dla reżyserów i kierowników zespołów artystycznych: W. Radulski, T. Terlecki, Z. Nowakowski, M. Czuchnowski: „TEATR AMATORSKI" (podręcznik reżysera) — 4/-. W. Radulski: „INSCENIZACJA WIERSZY I PIEŚNI" 3/-. W. Radulski: „FREDRO W TEATRZE AMATORSKIM" — 3/-. Do nabycia: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7. i wszystkie księgarnie polskie.

„ZRODZONY DO WIARY"

Lord Pakenham jest jednym z przywódców Labour Party w Anglii. Usilnie, choć bezskutecznie zabiegał o mandat poselski w okręgu Oxford z ramienia swego stronnictwa (ten sam los spotkał później jego żonę), powołany został następnie do Izby Lordów i w rządzie premiera Attlee pełnił różne funkcje ministerialne: był więc podsekretarzem stanu w ministerstwie wojny, dalej kanclerzem hrabstwa Lancaster, kierownikiem resortu polityki niemieckiej, ministrem lotnictwa cywilnego, wreszcie pierwszym lordem admiralicji przez pięć miesięcy w 1951 r. Porażka wyborcza Labour Party w



1951 r. na razie powstrzymała dalszą karierę ministerialną Pakenhama. Wrócił on na dawne stanowisko wykładowcy w Christ Church w Oxfordzie, które piastował przez około 20 lat.

Pakenham jest jednak bodaj bardziej „don"-em oksfordzkim, niż politykiem, chociaż nie może wykazać się wieloma opublikowanymi pracami naukowymi. Jest on charakterystycznym typem lewicowego naukowca angielskiego i świeżo ogłoszona jego autobiografia*) jest szczęśliwą okazją do nakreślenia sylwetki reprezentanta tej ważnej w życiu społecznym i politycznym Anglii warstwy.

Lord Pakenham urodził się w 1905 r. jako młodszy syn piątego hrabiego Longford. Rodzina Pakenhamów jest dawnego pochodzenia; zapiski notują pierwszego przedstawiciela tego rodu około 1100 r. w hrabstwie Suffolk. W XVII stuleciu Pakenhamowie osiedlają się w Irlandii w hrabstwie Westmeath, otrzymawszy nadania od Cromwella za jakieś bliżej nieokreślone zasługi. Z biegiem czasu otrzymują tytuł barona, a następnie hrabiego Longford w Irlandii i w końcu baronię Silchester w Anglii. Stają się więc parami Irlandii i Anglii, oczywiście w osobach seniorów rodu.

Rozległe i dystyngowane są koligacje rodzinne Pakenhama. Słynny „żelazny książę", Wellington był ożeniony z Kitty Pakenham. Matka Pakenhama była córką hrabiego Jersey, znany polityk Sir Robert Peel był jego pradziadkiem po kądzieli. Ojciec Pakenhama, generał Lord Longford poległ w 1915 r. w Gallipoli w ataku na pozycje tureckie.

W rodzinie Pakenhama miesza się krew irlandzka, angielska i walijska.

*) **Lord Pakenham — BORN TO BELIEVE. An Autobiography. Jonahan Cape. London 1953. Stron 254.**

Sam Pakenham uważa się za Irlandczyka i w pewnym miejscu w swej autobiografii zaznacza, że nie było w życiu jego momentu, kiedy nie byłby dumny z faktu, że jest Irlandczykiem.

Wizerunek duchowy Lorda Pakenhama malowany musi być barwami różnymi, kontrastowymi. Ten potomek rodziny arystokratycznej, reprezentującej elementy prawie wszystkich narodowości zamieszkujących wyspy brytyjskie, wychowanek Etonu i Oksfordu, wyrosły w atmosferze konserwatyzmu (był on członkiem bodaj najbardziej konserwatywnie prononsowanego Carlton-Clubu i członkiem stworzonego i kierowanego przez późniejszego premiera Chamberlaina biura studiów z ramienia partii konserwatywnej), który stał się radykalnym wyznawcą haseł socjalistycznych, ten człowiek nauki, który dał się porwać w wiry ożywionej akcji politycznej, zrazu o charakterze lokalnym (był przez pewien czas socjalistycznym członkiem rady miejskiej Oksfordu i, jak już wspomniano, kandydatem na posła z tego okręgu), a później, po wyniesieniu do Izby Lordów, mający wpływ na ustalanie polityki państwowej jako członek rządu — otóż człowiek ten zasługuje na uwagę szczególnie wśród czytelników naszego pisma i z tego jeszcze powodu, że z przekonania i z wolnego, świadomego wyboru stał się katolikiem i fakt ten w życiu swoim stawia bodaj na pierwszym miejscu jako rzecz niezmiernej wagi.

Przekonania polityczne i przekonania religijne Pakenhama przenikają się wzajemnie. „Stałem się socjalistą, ponieważ wierzyłem, że równość ludzi jest wstępem do wielkiej reformacji świata. Niezależnie od jakichkolwiek osobistych oddziaływań doszedłem do tego wniosku pod wpływem pragnienia, by nadać efekt społeczny doktrynie chrześcijańskiej, stwierdzającej, że wszyscy jesteśmy równie ważni w obliczu Boga" (str. 136). Długie rozważania doprowadziły go do przekonania, że szczery katolik może być szczerym członkiem brytyjskiej partii pracy. Zaznacza on, że po przyjęciu do Kościoła katolickiego pogłębił swoje studia nad zagadnieniami społecznymi i pod ich wpływem odsunął się dość mocno od swych nieco młodzieńczych, dawniejszych przekonań radykalnych (mówi on o swoich „płytkich rewolucyjnych emocjach, stanowiących produkt uboczny paramarksizmu").

Jakkolwiek Pakenham z racji swoich obowiązków wykładowcy teorii politycznych znał na wylot doktryny Marksa i uważał się za jednego z najlepszych ówczesnych ekspertów w tym zakresie w Oksfordzie, jednak nie przyswoił sobie na własność wszystkich zasad jego filozofii.

Sam Pakenham wyraźnie odcina się od chęci praktykowania zasad Marksa i składa na karb swej nierozwagi i swego pobudliwego temperamentu pierwotny swój radykalizm i swoją postawę „rewolucyjną" z pierwszego okresu swej przynależności do Partii Pracy.

Bo istotnie w głównej swej masie, którą reprezentują członkowie potężnych związków zawodowych i w zasadniczej swej linii politycznej Partia Pracy jest stronnictwem reformistycznym, a nie rewolucyjnym. Od samego początku jej istnienia ideały chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej zabarwiały silnie jej oblicze ideologiczne. Nie znaczy to, by w jej łonie nie było odłamów wyraźnie maksistowskich. Jakkolwiek opiera się ona głównie na masach robotniczych i ich interesy ma na uwadze, nie jest przecież wyłącznie stronnictwem klasowym, jej przywództwo w każdym razie myśli kategoriami ogólno-narodowymi.

Jakżeż charakterystyczne jest powiedzenie Pakenhama, że pociągał go socjalizm (oczywiście angielski), ponieważ był przekonany o jego wyższości moralnej, wyrażającej się szczególnie w jego postulacie równościowego podziału bogactwa. Jego decyzję przyłączenia się do Labour Party przyśpieszyło burzliwe zebranie faszystów brytyjskich z przemówieniem Sir Oswalda Mosleya i bójką, która rozgorzała pod koniec zebrania i do której Pakenham został wciągnięty. Jakkolwiek w tym okresie, jak stwierdza, jego znajomość doktryny chrześcijańskiej była nader skromna, jakkolwiek rzadko chodził do kościoła, jednak nigdy nie wyrzekł się zamiaru traktowania życia Chrystusa Pana jako najwznioślejszego przykładu i do partii politycznych stosował taki probierz: czyje zasady są najbliższe duchowi Chrystusowemu? A w nabytym przez siebie tygodniku politycznym taką złożył deklarację: „Jestem socjalistą, ponieważ jestem chrześcijaninem".

Z wielką szczerością i otwartością Pakenham pisze o płytkości swych przekonań religijnych w okresie swej młodości, a następnie o rodzących się w nim wątpliwościach co do najbardziej podstawowych artykułów wiary, dotyczących istnienia Boga i życia pozagrobowego. Przez kilkanaście lat jego życia religijne było niejako w zawieszeniu. Nie opuszczała go jednak nadzieja, że wszystko to się kiedyś odmieni i że wiara wróci, wiara prosta i silna. Jakkolwiek nieczynna przez tak długi czas, jednak wiara religijna nie przestawała w jego umyśle znaczyć więcej, niż cokolwiek innego. W roku 1938 pod wpływem również zaciągającego się horyzontu politycznego potrzeba dojścia do jakiegoś wyraźnego rozwiązania w dziedzinie religijnej stała się przemożna. Pakenham zwrócił się jednak nie do któregoś z duchownych Kościoła anglikańskiego, do którego formalnie należał, lecz do rektora (Master) Campion Hall'u, katolickiego, przez jezuitów prowadzonego college'u oksfordzkiego, ks. D'Arcy, znanego teologa. Rozmowy z nim i lektura przez niego wskazana posunęły problem nawrócenia Pakenhama znacznie naprzód. Odpowiedział sobie twierdząco na trzy najważniejsze dla siebie pytania: Czy istnieje Bóg? Czy Chrystus jest Istotą Boską? Czy Kościół katolicki jest Kościołem przez Chrystusa Pana stworzonym?

Odwlekał on jednak ostateczny krok z poczucia pewnej pokory i w świadomości niedostatecznego opanowania doktryny. Tymczasem wybuchła wojna, Pakenham wstąpił do wojska. Evelyn Waugh, znany pisarz katolicki (sam konwertyta) i przyjaciel Pakenhama, przełamał jego wewnętrzne, raczej na inercji polegające, opory i po krótkim przygotowaniu katechizacyjnym Pakenham został przyjęty do Kościoła w styczniu 1940 roku.

W kilka lat później (w 1946 roku) również żona Pakenhama i dzieci (mają ich ośmioro) przeszły na wiarę katolicką.

Historia nawrócenia opowiedziana jest z wielką prostotą, choć może zbyt szkicowo. Oddaje raczej ogólną atmosferę, ogólny nastrój duchowy autora w tym kluczowym momencie życia, pomija natomiast bardziej szczegółowe uzasadnienie tego kroku.

W lecie 1941 roku Pakenham stał się bliskim współpracownikiem Sir Williama Beveridge'a, zajętego opracowywaniem swego słynnego planu ubezpieczeń społecznych. Jako jego pomocnik osobisty Pakenham wygłosił 250 odczytów w latach 1941-1944 w związku z pracami Sir Williama. Rozdział poświęcony tej współpracy zawiera żywą i sympatycznie ujętą sylwetkę wielkiego ekonomisty i społecznika, o którym autor wyraża się z najwyższymi pochwałami.

Przedstawienie kariery ministerialnej przynosi mnóstwo materiału, że tak powiemy, anegdotycznego. Jest rzeczą charakterystyczną dla autora, że sylwetki ludzi opisywanych przez niego mają bez wyjątku rysy sympatyczne i dodatnie, że nuta krytycyzmu nigdy prawie nie zabrzmiewa.

Natomiast Pakenham wypowiada pewne, łagodne dość zastrzeżenia wobec polityki własnej partii. Dostrzega w niej m. i. tendencję do traktowania Rosji sowieckiej jako „kraju socjalizmu", a więc bliskiego sercu socjalisty i zamykania oczu na zło popełniane przez nią. Ludzi tych interesuje los Chińczyków, chociaż walczą oni z Anglią, a los uciskanych ludzi w Rosji sowieckiej i w krajach satelickich pokrywają milczeniem. N.b. w pewnym miejscu Pakenham wspomina o „savage maltreatment of Poland" w 1945 roku.

Autobiografia Lorda Pakenhama napisana jest bardzo żywo i zajmująco. Życie autora, mimo ważkich decyzji, zmieniających zasadniczy jego kierunek, płynęło raczej spokojnie i układało się składnie, bez zgrzytów, nie było też wstrząsane głębokimi kryzysami. Chociaż w swej karierze naukowej i politycznej osiągnął wyżyny, dostępne tylko wybranej garstce, nie zatracił pokorny i prosty, cech szczególnie ujmujących. Posiada też ważną cnotę chrześcijańską — męstwo, męstwo swych przekonań.

M. Ch.

ROZMOWA Z LORDEM PAKENHAM

Z polecenia redakcji ŻYCIA odbyłem rozmowę z Lordem Pakenham w jego mieszkaniu w Christ Church. Nie było mu łatwo znaleźć czas na odbycie tego wywiadu, gdyż były to ostatnie dni trymestru uniwersyteckiego, charakteryzujące się szczególnym nasileniem obowiązków naukowych i wychowawczych. Trzeba było odkładać spotkanie, wreszcie jednak któregoś poranka o umówionej porze zastałem mojego rozmówcę śpiesznie kończącego śniadanie.

Zacząłem wywiad od pytania raczej na nutę osobistą. Rozległy zakres zainteresowań i aktywności Lorda Pakenhama, który wszak równocześnie był czynny jako naukowiec i wychowawca młodzieży, ale i jako polityk i administrator, którego życie religijne obfitowało w głębokie doznania — nasuwał poniekąd pytanie, jak odczuwa on impakt życia tak pełnego i zwróconego w tylu kierunkach.

„Życie — odpowiada Lord Pakenham **— przedstawia mi się w postaci podniecająco radosnej, ale często również nużącej. Wysiłek bowiem potrzebny do nadawania swemu życiu równocześnie różnych kierunków, jest fizycznie i duchowo wyczerpujący. Dla wielu z nas, którzy prowadzimy tego rodzaju życie, oznaczałoby to zaoszczędzenie energii, gdybyśmy nabyli więcej prawdziwie katolickiej pokory i gdybyśmy mniej zacięcie między sobą współzawodniczyli".**

Z uwagi na to, że Lord Pakenham tak wysoko stawia wartości duchowe, co go skierowało na drogę powrotu do Kościoła katolickiego, że następnie w toku swej działalności oficjalnej miał sposobność zaznajomienia się z siłą prądów przebiegających świat współczesny, a w szczególności życie duchowe i społeczne Anglii, wysunąłem problem odrodzenia się ducha chrześcijańskiego, a w szczególności problem powrotu Anglii do wiary katolickiej.

Lord Pakenham: Nie chciałbym bawić się w proroka, jeśli chodzi o metody prowadzące do tego celu, gdy wszystko w tej dziedzinie zależy od łaski Bożej. Mając to zastrzeżenie na uwadze, powiedziałbym, że widoki powrotu Anglii na łono Kościoła katolickiego są dzisiaj lepsze, niż kiedykolwiek za mojej pamięci. Gdy byłem studentem w Oksfordzie 25 lat temu, świat intelektualny był opanowany przez agnostyków. Sytuacja dzisiaj jest z pewnością zgoła odmienna. Słowo „duchowy" znajduje się na ustach niezliczonej ilości ludzi, a siły religijne przystąpiły do kontrataku na całej linii. Jak to zaznaczyłem w swej książce, mam największy szacunek dla Kościoła anglikańskiego (Church of England), ale naturalnie mam nadzieję i wierzę, że ogólne wzmocnienie się wiary w Anglii doprowadzi ostatecznie do pogodzenia się (reconciliation) i do odwrócenia tragedii, jaką była reformacja".

Poruszyłem następnie problem niemiecki, który nasuwał się tym bardziej, że przez blisko dwa lata Lord Pakenham był odpowiedzialny w rządzie Labour Party za politykę w stosunku do Niemiec.

Lord Pakenham: „Jako przewodniczący Towarzystwa Angielsko-Niemieckiego, chciałbym oczywiście być uważanym za szczególnego przyjaciela Niemiec. Jestem i będę zawsze głęboko zainteresowany w porozumieniu angielsko-niemieckim. Nie znaczy to wszakże, bym miał niedoceniać znaczenia dobrych stosunków między wszystkimi narodami Europy. Zagadnienie stosunków polsko-niemieckich mam ciągle na uwadze. Wierzę, że za niewiele lat zjednoczone Niemcy zajmą swe miejsce jako równouprawniony członek rodziny narodów. Ale nie sądzę, by pokój miał być zabezpieczony, dopóki stosunki niemieckie z Polską nie oprą się na zasadzie przyjaznej. Oczywiście wolna Polska pod chrześcijańskim przywództwem łatwiej prawdopodobnie doprowadzi do takiego rezultatu, niż Polska pod panowaniem komunistycznym".

W swej autobiografii Lord Pakenham w pewnym miejscu wspomina o „savage maltreatment of Poland". Poprosiłem go o bliższe określenie, co w szczególności miał na myśli. Oto, co odpowiedział:

„Uważałem za jedną z najbardziej przeraźliwych (appaling) sytuacyj w historii, żeśmy bardzo słusznie wkroczyli do wojny w obronie Polski, a następnie po wojnie byli zmuszeni przystać na obecne opłakane (lamentable) urządzenie sprawy polskiej. Nie chodzi mi w tej chwili o to, kto ponosi winę w tym wypadku, lecz o stwierdzenie, że sumienie chrześcijańskie nie dozna spokoju, dopóki na drodze pokojowej Polska wolna nie stanie się rzeczywistością".

Wywiad mój z Lordem Pakenham zakończył się tym tak dla nas sympatycznym i pozytywnym akcentem.

Wywiad przeprowadził **M. Ch.**

„ODKRYCIE WIARY"

Ostatnia książka zmarłego przed kilku miesiącami prof. C. E. M. Joada p. t. „The Recovery of Belief" (Faber and Faber Ltd., London 1952, stron 250) zasługuje na uwagę wszystkich myślących obserwatorów współczesnych prądów umysłowych. Prof. Joad



był dość typowym przedstawicielem angielskich sfer intelektualnych, wychowanych w tradycjach kulturalnych XIX w. Sam Joad określa środowisko, w którym się obracał, jako koło lewicowych i centrowo-lewicowych polityków, dziennikarzy, pisarzy, artystów i uczonych, wśród których rzadko trafiał się człowiek wierzący. Zwraca uwagę, że na 50 milionów mieszkańców Wielkiej Brytanii tylko około 10 procent ma jakiś stały związek z kościołem, że wśród tych 10 procent wysoki odsetek stanowią ludzie starsi, a zwłaszcza starsze kobiety o niskim stopniu wykształcenia. Na setkę osobistych, bliskich znajomych mógł się doliczyć tylko może pół tuzina wierzących chrześcijan. Joad stwierdza, że klimat czasów współczesnych jest wrogi religii, tak wrogi, że wielu wydaje się, iż religia w ogóle nie zasługuje na poważne traktowanie. Przytacza jako przykład odrzucania przez naukowców interpretacji religijnej wszechświata przemówienie biologa prof. Watsona z 1943 roku, który m. i. powiedział: „Ewolucja została przyjęta przez naukowców nie dlatego, że zaobserwowano jej przebieg, ani też, ponieważ jej istnienie wykazane zostało na podstawie logicznie ze sobą powiązanych dowodów, lecz ponieważ jedyna alternatywa — akt specjalnego stworzenia — jest wyraźnie nie do przyjęcia".

Joad również wzrósł w tym klimacie i, jak powiada, przez większą część swego życia był nie tylko agnostykiem, lecz w dodatku agnostykiem wojującym i otwarcie głoszącym swe przekonania.

A jednak odzyskał swą wiarę na drodze procesu rozumowego, przy czym zdawał sobie sprawę, że intelekt ludzki nie jest instrumentem poznawczym zdolnym objąć wszystkie zjawiska w wszechświecie. Sądzi on jednak, że 1) intelekt jest przewodnikiem, który może pomóc nam w odbyciu przynajmniej części drogi, zmierzającej do poznania wszechświata, 2) nie ma innego sposobu odbycia tej drogi i 3) po przebyciu odcinka drogi pod przewodnictwem intelektu resztę drogi trzeba odbyć na wiarę (on trust). Innymi słowy, jeśli punkt widzenia religii zgodny jest z rozumem, trzeba przyjąć, że z chwilą, gdy rozum nie jest już w stanie prowadzić nas dalej, trzeba zdać się z ufnością na religię i dać się jej prowadzić w rzeczach, których rozum nasz nie potrafi zgłębić.

Joad w książce swej przyznaje z pewną pokorą, że jego powrót do chrześcijaństwa, jego powrót do wiary, jest poprzetykany pewnymi wątpliwościami i trudnościami. W szeregu rozdziałów, które nie stanowią oczywiście wszechstronnego systematu doktryny chrześcijańskiej, prof. Joad snuje refleksje filozofa czy człowieka nauki na temat kilku podstawowych zagadnień w sposób zawsze interesujący, a przy tym świadczący o dużym wysiłku intelektualnym celem dotarcia do prawdy.

Trzeba pamiętać, że Joad nie tyle był oryginalnym myślicielem, co raczej popularyzatorem, niejako pośrednikiem między twórczymi umysłami a szeroką publicznością. Miał on w sobie coś z dziennikarza, duże wyczucie aktualności, kierunków zainteresowania i dużą zdolność stosunkowo łatwego i strawnego zaspokajania współczesnych apetytów poznawczych.

Punktem wyjścia jego ostatniej książki była chęć podjęcia dyskusji z wybitnym astronomem angielskim Fredem Hoyle, który przed paru laty wygłosił szereg prelekcyj w radiu brytyjskim, następnie wydanych drukiem p. t. „Charakter wszechświata" (The Nature of the Universe). Jakkolwiek Hoyle odrzeka się od materializmu, jednak umysł jego działa pod wpływem koncepcyj materialistycznych. Dla niego rzeczywistość obraca się w ramach materii, o czym świadczy jego powiedzenie, że umysł musi mieć powiązania fizyczne, teza, z którą Joad polemizuje. Przy sposobności wskazuje on na trzy fazy ustosunkowania się człowieka do pojęcia wszechświata. W pierwszej fazie człowiek pierwotny nie rozumiał działania i natury sił przyrody i miał skłonność do traktowania ich jako postaci ponadludzkich, z którymi możliwy był kontakt i które można było ułagodzić przez ofiary. W drugiej fazie wydawało się, że nauka zdolna jest wytłumaczyć i wyjaśnić wszystko bez reszty. Odkrycia nauki ścisłej zredukowały rolę człowieka a powiększyły granice wszechświata, pojętego jako mechanizm, którego każdą cząsteczkę nauka zdoła zanalizować. Była to faza nauki tryumfującej i odrzucającej do lamusa przesądów i przeżytków wszystko to, co nie wywodziło się z materii i nie dało się wymierzyć fizycznie.

„Dzisiaj faza ta przeminęła — powiada Joad na stronie 34 — i wiemy zbyt wiele o wszechświecie, by łudzić się, że wiemy cośkolwiek jako pewnik... Każdy nowy krok w poznaniu ludzkim odkrywa powiększające się rozmiary nieznanego."

Uwagi swe na marginesie prelekcyj Hoyle'a prof. Joad kończy konkluzją, że przedstawiciele nauki przenoszą swe koncepcje i sposoby myślenia, które są właściwe w ich własnej sferze, do dziedzin, w których ich zastosowanie nie może dać dobrych rezultatów, co ich skłania niekiedy do zaprzeczenia samego istnienia tych dziedzin. Od nauki ścisłej trudno więc oczekiwać, by mogła dorzucić coś pozytywnego do interpretacji religijnej wszechświata.

W rozdziale o znaczeniu zła autor podkreśla ciężar zła i grzechu, który przygniata człowieka i każe mu oglądać się za pomocą i przewodnictwem z góry dla uniknięcia rozpaczy. Filozofia racjonalistyczno - optymistyczna, której — w tradycji XIX wieku — Joad hołdował, wydawać mu się zaczęła coraz bardziej płytką i trywialną, im silniej rzeczywistość XX wieku uzmysławiała mu potęgę zła. Na drodze tych doznań doszedł do chrześcijaństwa.

Wśród szeregu rozdziałów książki, zajmujących się m. i. takimi zagadnieniami, jak twierdzeniem, że religia jest pojęciem czysto subiektywnym, związanym ze sferą wyłącznie emocjonalną człowieka, jak problem panteizmu i nieśmiertelności duszy, zagadnieniem transcendencji i immanencji, stosunkiem między sferą przyrodzoną i nadprzyrodzoną itd., — szczególnie ciekawym jest rozdział poświęcony stosunkowi między nauką a religią. Joad wykazuje, że nie ma koniecznego konfliktu między tymi dwiema dziedzinami. Nauka bynajmniej nie podważa, jak się niektórym wydaje, interpretacji religijnej wszechświata. Jakkolwiek wiedza ścisła poczyniła wielkie postępy w ostatnich stu latach, zdołała ona wyjaśnić tylko pewien wycinek rzeczywistości. Nauka bynaj-

(Dokończenie na str. 4)

MICHAŁ SAMBOR

WIELKI DRAMAT CZY MAŁE ARCYDZIEŁO?

1



Może jest czasem dobrze dać się ulężeć wrażeniom. Widziałem jedno z pierwszych przedstawień nie schodzącej do dziś z afisza i wydanej już drukiem sztuki Grahama Greene'a pod nieprzetłumaczalnie dwuznacznym tytułem „The Living Room". Pierwsze wrażenie było tak silne, że bez wahania podpisałbym się pod sądami tych krytyków angielskich, którzy nazwali ją zaraz po premierze „wydarzeniem w dziejach teatru", „najlepszym debiutem dramatopisarskim naszego pokolenia", „wielkim dramatem"... Nie znam przedmiotowych sprawdzianów wielkości dramatu, czy w ogóle literatury, mam jednak dla osobistego użytku jedną śmieszną różdżkę do tropienia złóż wielkości pisarskiej: po lekturze, choćby najdawniejszej, dzieła, które z kapryśną łaskawością zaliczam sobie do „wielkich" lub „niemal wielkich" zostaje mi w pamięci co najmniej jedno zdanie, zdanie-natręt, zdanie nie do przegonienia i nie do zatarcia. Wystarczy na przykład, żebym sobie parę razy powtórzył: „A kto prośby nie posłucha, w imię Ojca, Syna, Ducha..." albo: „Good night, sweet prince — Good night, Horatio...", czy, by sięgnąć do literatury najnowszej — dość mi przypomnieć sobie przedśmiertny okrzyk żony rozstrzelanego przez „białych" mera hiszpańskiej mieściny („For Whom The Bell Tolls"): „Long live my husband who was the mayor of this town!", albo ostatnie zdanie „La peste" — a już nie tylko „mrówki chodzą mi po plecach", ale — co ciekawsze — natychmiast mam w oczach obraz całej tragedii czy powieści, jej niepowtarzalny koloryt czy atmosferę. Sztuka Greene'a nie zostawiła we mnie takiego zdania.

Drugi prywatny sprawdzian, to poczucie własnej małości w zetknięciu z wielką sztuką. Józef Łobodowski opowiadał niedawno w Londynie następującą rozmowę:

Osoby: Łobodowski i Gałczyński. Czas i miejsce: nad ranem, w przedwojennej knajpie warszawskiej.

GAŁCZYŃSKI (przymilnie): Józiu, g...rzu, jesteś pijany g...rz, więc powiedz mi teraz szczerze (czkawka), czy ty naprawdę myślisz, że ja jestem poeta.

ŁOBODOWSKI (serdecznie): Jesteś, g...rzu jesteś.

GAŁCZYŃSKI (wściekle): Nie g...rzu!! (rozdzierająco i bardzo cicho): Ja... ja... jestem... g...rz.

I ten sprawdzian zawodzi. Mimo wszystko, człowiek nie czuje się aż g...rzem wobec geniusza Grahama Greene'a.

2

Skąd więc to pierwsze, tak silne wrażenie? Po pierwsze, „The Living Room" jest naprawdę dobrą sztuką, a na skomercjalizowanych scenach londyńskich nie nazbyt często ma się sposobność oglądać naprawdę dobrą sztukę współczesną. Po drugie — jest to sztuka katolicka. Bądźmy szczerzy, przyjemność estetyczną, jaką czerpiemy z dzieła sztuki, wydatnie zwiększa zgodność ideologii autora z naszymi poglądami. Shaw był niewątpliwie większym majstrem pióra od zbliżonego doń w technice pisarskiej Chestertona i za większego zgodnie uważa go niekatolicka krytyka angielska, ale my, Polacy i katolicy, jesteśmy odmiennego zdania. Chesterton nas bawi, wzrusza, uczy i podnosi, Shaw tylko bawi i... drażni. Po trzecie, odcień katolicyzmu Greene'a jest mi osobiście szczególnie bliski. Żartobliwie określiłbym go jako katolicyzm... cerebrotoniczny. W modnej dziś klasyfikacji charakterologicznej dra Sheldona, cerebrotonik odpowiada fizycznie Kretshemerowskiemu astenikowi, psychicznie — schizotymikowi. W przeciwieństwie do katolika somatotonicznego, do barczystego, nieraz brzuchatego, osiłka typu Doktora Anielskiego czy Chestertona, cerebrotoniczny wymoczek, gdy jest katolikiem, jest o wiele wrażliwszy na to, co się dzieje w jednej duszy ludzkiej, niż na rząd dusz, na nieobliczalność miłosierdzia niż na wspaniałą żelazną logikę sprawiedliwości i norm moralnych, na akty wewnętrzne, niż na fakty zewnętrzne, na nędzę doczesną niż na przyszłą chwałę, na ciche męczeństwo niż na triumfujące apostolstwo... Czuje się skrępowany wobec Kościoła jako instytucji, wobec hierarchii, rytuału, liturgii, wolałby przestawać z Bogiem sam na sam. Nie są to oczywiście różnice doktrynalne, ale różnice temperamentu, chodzi nie o to, w co się wierzy, ale o to, co komu przychodzi łatwiej, naturalniej. Inna rzecz, że cerebrotonik jest mniej odporny na herezje, za to tylko somatotonik zdolny jest do schizmy.

Gdy w sztuce Greene'a ksiądz Jakub z wyraźną aprobatą autora mówi ironicznie ciotce Helenie, wstrząśniętej „śmiertelnym grzechem" stwierdzonego, świadomego i otwartego cudzołóstwa swej młodziutkiej siostrzenicy: „Ciekaw jestem, jaki ty masz sposób, by odróżnić grzech śmiertelny?"*) — to powiedzenie, właściwie rozumiane, nie zawiera błędu doktrynalnego, ale twierdzenie o nieprzeniknionej tajemnicy serca ludzkiego i sądów Bożych tak skrajnie i z takim smakiem mógł wyrazić tylko cerebrotonik. (Nie widziałem wprawdzie nigdy dostatecznie dużej i wyraźnej fotografii p. Greene'a, by go z całą pewnością zaliczyć do tego właśnie typu psycho-fizycznego, ale nie wyobrażam sobie, by był somato- czy wiscerotonikiem. Jeśli fakty miałyby zaprzeczyć tej teorii, tym gorzej dla faktów!)

Trzeba wreszcie powiedzieć, że sztuka zawdzięcza niemało świetnemu wystawieniu i doskonałej grze. Kto wie, czy nie większym od samej sztuki wydarzeniem w historii angielskiego teatru współczesnego była gra 22-letniej panny Dorothy Tutin w głównej roli Róży Pemberton. P. Tutin oświetliła ponurą scenę urokiem niepodrabianej młodości, ale młodości myślącej i uczulonej na tragizm. Może dlatego właśnie tak nieomylnie zagrała stworzenie, które „nie chce myśleć" i „chce być po prostu szczęśliwe". Eric Portman z wielkiego ograniczenia, jakim jest dla każdego aktora „nieruchoma" rola, w tym wypadku rola księdza przykutego do wózka inwalidzkiego — wyciągnął same korzyści. Inni aktorzy stanęli co najmniej na wysokości zadania, prócz może Robinsona w roli kochanka Róży, ale to już raczej wina autora, bo ta jedna jedyna postać robi wrażenie, że stworzona została właściwie tylko po to, by Róża miała z kim zgrzeszyć a ksiądz Jakub — rozmawiać.

3

Kilka ostrych zarzutów, na jakie sobie pozwoliłem powyżej, mogłoby wywrzeć wrażenie, że oceniam sztukę Greene'a ujemnie. Jak ją nazwałem? „Dobrą"? To za mało. To jest bardzo dobra sztuka. „Bardzo dobra" sztuka w stosunku do „wielkiej" sztuki jest czymś w rodzaju „bardzo porządnego człowieka" w stosunku do świętego. Wielkość czy świętość porywa nas pozytywnymi heroicznymi cnotami, porządność chwalimy za dobro — jeśli tak można powiedzieć — negatywne, za to, że nie robi świństw i nie tkwi w grzechach głównych.

Wychodząc z oczywistego, a jednak dla wielu tak trudnego do przyjęcia, założenia, iż „sztuka jest autonomiczna w tym znaczeniu, że posiada swoją własną dziedzinę... a celem sztuki jest pogłębienie odczucia dziwu nad zagadką człowieka i świata" — Antoni Gołubiew ułożył kiedyś w „Znaku" dowcipną listę s i e d m i u g r z e c h ó w g ł ó w n y c h r e a l i z m u k a t o l i c k i e g o. Wystarczy z tą listą w ręku zrobić rachunek Greene'owego sumienia artystycznego, by pierwszej sztuce tego świetnego powieściopisarza przyznać bardzo wysoką rangę. „The Living Room" jest wolny albo prawie wolny od każdego z siedmiu wymienionych przez Gołubiewa „grzechów": 1. od niewolniczego naturalizmu; 2. anarchistycznej fikcji; 3 zgubienia się w szczegółach; 4. nieklarowności widzenia i odtwarzania; 5. naginania prawdy człowieka i świata do prawd zdobytych na innych drogach poznania („żaden wzgląd nie usprawiedliwa fałszerstwa, a wysuwane często postulaty wychowawcze są nieporozumieniem: nie wychowuje się na fałszowaniu prawdy"); 6. uginania się pod naciskiem opinii, schlebiania jej („schlebia także ten, kto chce się po prostu przekomarzać lub oponować..."); 7. pogoni za oryginalnością.

Graham Greene okazuje całą swą twórczością, że piąty z tych grzechów głównych uważa za „najgłówniejszy". Na pewno podpisuje się pod tym, co swego czasu tak dobitnie powiedział Charles Du Bos: „Z obydwu znaczeń słowa b u d o w a n i e żadne nie wchodzi w zakres powieściopisarza, który powinien unikać zarówno dowolnej konstrukcji życia, jak i wygłaszania o nim kazań." Prawdziwej sztuki się nie b u d u j e, prawdziwa sztuka w y r a s t a i daje odbiorcy wzrastać duchowo. Greene dzieli odrazę innego wybitnego pisarza katolickiego, Daniela Ropsa, do utożsamiania wartości książki z pożytecznością jej czytania, co jest „skazywaniem powieściopisarza na tworzenie wyłącznie dla dzieci przystępujących do pierwszej Komunii". Odraza ta u niego jest tak silna, że może być uważana za cnotę już „pozytywną". Ona to ściągnęła na niego zarzut „niemoralności", który, gdy jest niesłuszny, jest dla pisarza największą pochwałą.

*) Cytuję z pamięci.



Dorothy Tutin

By courtesy of „The Illustrated"

4

W swej pierwszej sztuce Greene, bądź co bądź debiutant, wykazuje oszołamiającą sprawność, którą trochę krzywdząco nazwać by można — techniczną. Nie jest ona zresztą nieoczekiwana. Jak słusznie zauważa Roland Hill w „Tablet", „wszystkie postaci powieściowe Greene'a mają cechy osób dramatu. Nie wymagają wielosłownych opisów. Są, mówią, działają i opisują się same..."

Krytyk, który by chciał w jednej recenzji mówić o wszystkich, czy choćby najważniejszych arkanach sztuki dramatopisarskiej Greene'a, skazałby się na same wyświechtane ogólniki. Może więc lepiej skupić uwagę na jednym, niezbyt typowym, ale bardzo ciekawym chwycie i za pomocą tego przykładu dać pewne pojęcie o jakości „roboty" literackiej:

Myślę o mistrzowskim użyciu w „The Living Room" — poetyckiego, choć prozą pisanego, cytatu ze św. Jana od Krzyża. Cytat, już sam przez się, jest ciałem obcym w organizmie każdego „czystego" rodzaju literackiego: w poemacie, powieści (gdzie najczęściej występuje p o z a nią, jako motto), najbardziej może w dramacie. Nie jest nim np. w essayu czy w „vie romancée". Obce ciało zaskakuje, sprawia niespodziankę, jest — by użyć porównania Lippsa — tamą, przed którą zatrzymuje się, burzy i spiętrza strumień naszych doznań. Stopień niespodzianki zależy od rozmiarów obcego ciała i stopnia jego obcości. Jedno i drugie jest w naszym przykładzie znaczne. Ksiądz Jakub odczytuje spory ustęp wspaniałej prozy św. Jana, która swą poetycką formą, filozoficzną treścią, dawnością i „hiszpańskością" jest niezmiernie obca prozaicznemu, prostemu, współczesnemu i bardzo angielskiemu językowi rozmów ludzi spotykających się w „living room". Co więcej, ten ustęp, wyjęty z kontekstu, nie wyjawia przed słuchaczem całej swej zawartości, jest częściowo niezrozumiały, hermetyczny, co jeszcze potęguje zaskoczenie.

Niespodzianka sama nie stanowi jednak jeszcze o wartości estetycznej chwytu. Jest tylko jednym z jej czynników.

W swym niedawnym przemówieniu nowy prezes brytyjskiego Twa Popierania Nauk Przyrodniczych Sir E. Appleton użył bardzo zwięzłej, nieobcej oczywiście estetykom, formuły na określenie tego, co sprawia, że jakiś eksperyment naukowy nazwać możemy pięknym. „Jego cechą" — mówił znakomity astrofizyk — „jest nieuniknioność, ale — paradoksalnie — nieuniknioność taka, która może sprawiać niespodziankę. Wielki eksperyment wydaje się nam czymś, czego nie można było zrobić inaczej... Zaskakuje nas to, że komuś przyszło do głowy dokonać go właśnie w ten sposób, a potem widzimy jasno, że to był właściwie jedyny sposób..."

Chwytowi artystycznemu cechę nieuniknioności nadaje jego uzasadnienie. Dlaczego i po co chwyt został użyty, jak jest związany z resztą dzieła, jakim celom służy — im więcej znajdujemy zadawalających odpowiedzi na te pytania, tym bardziej chwyt staje się przekonywujący, konieczny, nieunikniony, naturalny.

W naszym przykładzie głośna lektura św. Jana od Krzyża ma najpierw proste uzasadnienie sytuacyjne. Cóż w tym dziwnego, że tę właśnie książkę wybrał ksiądz, by z niej poczytać swej chorej siostrze, gorliwej katoliczce? To by już od biedy mogło wystarczyć, ale to dopiero początek. Czytany fragment swą minorową tonacją, wzniosłością i trudnością szczególnie odpowiada księdzu Jakubowi, temu inwalidzie nie tylko fizycznemu, który jednak całe życie wytrwale szedł „per aspera" i ciągle rwie się „ad astra", choć dziś już nie wierzy, by mógł dojść. A jego siostra Teresa, chora z urojenia i wmówienia, biedna mała duszyczka, cicha histeryczka — słucha dla pociechy duchowej na swoją miarę: nie rozumie czytanego tekstu, ze spokojnym sumieniem fideistki nie sili się, by go zrozumieć, szuka ukojenia w samej muzyce słów. Ale i ksiądz wyznaje, że nie rozumie, co czyta. Jest to jednak niezrozumienie zupełnie inne: on mógłby streścić czytany ustęp swoimi, prostymi słowami, zna jego treść pojęciową, ale czuje, że do niej nie dorósł. W ten sposób scena lektury, na pozór statyczna, staje się sceną wybitnie dramatyczną mając ponadto, ze względu na poruszone przez św. Jana od Krzyża zagadnienie cierpienia, wymowę skrótu, w którym zamknięta jest problematyka całej sztuki.

Nawiasem chciałbym przy tej sposobności zauważyć, że pomimo łudzących pozorów, ksiądz Jakub nie jest człowiekiem złamanym, bankrutem. Wprost przeciwnie, jest bardzo bliski mocy ducha i świętości, wbrew temu, co sam o sobie sądzi i co o nim myśli otoczenie. Jego gorzki rozsądek i przysypany popiołem żar dają mu w rzeczywistości rządzić całym domem, on ma istotny wpływ na swe obie siostry, choć zdaje się im ulegać. To prawda, że na drodze naturalnej, na drodze perswazji poniósł klęskę próbując sprowadzić siostrzenicę z drogi grzechu, ale w nadprzyrodzonym rachunku jego bezradne usiłowania i trwożliwe modlitwy musiały mieć bardzo ścisły związek z niepojętym po ludzku przebaczeniem, jakiego dostąpiła cudzołożna samobójczyni.

5

Raymond Mortimer wyraził się kiedyś, że Gide (podobnie jak Mauriac) jako powieściopisarz czerpie ogromne korzyści z tego, że porywają go gwałtownie zarówno sprawy ducha, jak i zmysłów."

Podobnie jak Mauriac... Greene sam się poniekąd uważa i przez wielu jest uważany za ucznia Mauriaca. Zdawać by się mogło, że i pod tym względem, w tym zafascynowaniu zmysłami, płcią, czy jak się kiedyś mówiło „chucią" — jest między nimi podobieństwo. Niechętni Greene'owi krytycy mówią nawet o jego „obsesji seksualnej". Coś w tym jest prawdy, ale zdaje mi się, że jest tu zasadnicza różnica. Greene jest o wiele bardziej purytański od Mauriaca, sprawy płci go w istocie nie pociągają, chyba, że odpychanie uznamy za perwersyjną formę pociągu. Wystarczy przeczytać takie zdania Mauriaca, jak te (z „Faryzeuszki"): „Istoty prawdziwie perwersyjne są równie rzadkie na tym świecie, jak święci. Nie spotyka się świętych na każdym zekręcie, ale również nie często natykamy się na kogoś, kto byłby zdolny wyrwać z nas ten szczególny jęk, ten szloch wyrażający zgrozę nie mniej, jak rozkosz..." — by odczuć, że zgroza katolika splotła się tu nierozłącznie ze smakiem zmysłowca.

Greene jest drastyczny, ale Greene robi wszystko, by grzech pozbawić smaku, by go obrzydzić. Ile to w „The Living Room" mówi się o brzydocie hotelowego pokoju, który odbiera urok pokątnej miłości! Jak brzydka jest Afryka w „Sednie sprawy" — ten czarny ląd gorących ciał ze szlagierów! Znam tylko jeszcze jednego pisarza, równie uczulonego na brzydotę świata, z równym artyzmem ją cieniującego. To nasz Uniłowski.

Wydaje mi się więc, że „obsesja seksualna" Greene'a jest jednak po trosze pogonią za uznaniem, czyli szóstym grzechem głównym z listy Gołubiewa, i że Greene zasłużył sobie na ironiczną uwagę recenzenta w „Observerze": „Sztuka Greene'a ma wszelkie składniki potrzebne dziś do popularności: teologię zmieszaną z seksualizmem, trupa z wiarą, stare dziwaczki w brudnym i tajemniczym domu... księdza kalekę i słodką dziewuszkę-męczenniczkę..."

A w istocie to nie „chuć" pociąga Greene'a, to jest dla publiczności, autor staje zgrozą i podziwem zdjęty przed czym innym, przed grzechem, w nim, w tym wielkim beznadziejnym buncie przeciw Stwórcy widzi coś wzniosłego — i słusznie, bo to jest odwrotna strona wielkiej i świętej tajemnicy wolnej woli. „Kochaliśmy ją dlatego" — mówi ksiądz Jakub o Róży — „że była zdolna do rozpaczy." „Grzesznik jest w samym sercu chrześcijaństwa" — te słowa Peguy'ego są mottem „Sedna sprawy".

Dlatego życzyć by sobie należało, aby Greene zechciał się zwrócić od zbyt natrętnie obrazowanego grzechu nieczystości do innych grzechów głównych. Może nie mniej „atrakcyjnym", nie mniej „fotogenicznym" byłby grzech pychy w tej zwłaszcza jego formie, która nazywa się żądzą władzy, a której rozkosze nie są mniej słodkie ani mniej zatrute. Despotyczna ciotka Helena z „The Living Room" jest pod tym względem niestety tylko tworem, jeśli nie humorysty, to klinicznego analityka.

6

Czytelnik, który dobrnął do końca tych uwag, będzie zapewne rozczarowany tym, że ani nie wyczerpałem problematyki omawianego utworu, ani nie opowiedziałem jego treści. Pierwsze jest prawie niemożliwe bez zrezygnowania z pełnego wypowiedzenia i jakiego takiego uzasadnienia tego, co się krytykowi wydaje najważniejsze — drugie jest najczęściej niewskazane. Sztukę Greene'a trzeba samemu zobaczyć albo przeczytać. Jest zbyt ważna by wystarczyło nieudolne streszczenie.

Michał Sambor

JAN WEPSIĘĆ

GOOD BYE, ENGLAND!

Poranek mglisty, senny. Statek płynie spokojnie, cicho. Właśnie mija Land's End, najbardziej na zachód wysunięty cypel Anglii. Pora roku odebrała mu zieleń i obnażyła do szarej nagości ziemi, tak szarej i jednostajnej, jak angielskie niedziele.

Świadomość, że to ostatni skrawek ziemi, na której spędziłem szereg lat, przywołuje z zakamarków pamięci obrazy tego kraju i jego społeczeństwa. I nie wiem, czy prawem kontrastu do szarego Land's End, czy przeżytych doznań piękna przyrody tego kraju, z pamięci wyłaniają się obrazy Anglii tonącej w zieleni lasów, gajów i pól, pokrajanych ludzkim prawem indywidualnej własności i grzebieniami żywopłotów w szachownicę, kończącą się dopiero tu na morzu, które nie uznaje takiej ludzkiej drobnostkowości. To kraj zielonych terenów sportowych i parków, które wieńcami wiekowych drzew opasały pałace i zamki — w których historia zastygła w herbach i obrazach rozwieszonych na ścianach — parków, które szerokimi połaciami rozpostarły się w miasteczkach i ceglastych morzach miast. To wreszcie kraj miniaturowych ogródków, wynagradzających mieszczuchom brak utraconej przyrody.

* * *

Na tych kwadratach zielonej szachownicy angielskiej ziemi rozsiadły się roje miast i miasteczek, za symbolicznymi obwarowaniami żywopłotów rozciągnęły się klucze wiosek. A każdy z domków w mieście czy wiosce, duży czy mały, to zamek dla siebie, angielski castle. To kraj takich odosobnionych zamków. Anglik nigdzie nie czuje się tak swojo, tak pewnie i niezależnie jak w swym domku. Dlatego też wyjście poza dom, dla sportu czy rozrywki, czy do pub'u, który trzyma obywatelską straż na każdym rogu ulicy, Anglik uważa jakoby za udzielenie sobie przepustki na krótki, określony czas, w określone dni.

Angielski dom — to marnujący ciepło kominek i stojące przed nim fotele powszechnego użytku. Elementem zespalającym życie domowe jest herbata, która jest nie tylko częścią składową posiłku, ale instytucją społeczną. To lekarstwo na wszystko: na wilgotny chłód angielskiej zimy, to ukojenie w smutkach i niepowodzeniach, rekompensata za niedostatek, element podtrzymujący towarzyską rozmowę, uświetniający rodzinne uroczystości. Kulinarna mądrość rodzinyześrodkowuje się wokół przygotowywania herbaty i plum puddingu.

W angielskich domach w Surrey czy Szkocji, Cornwall czy Lancashire, mimo regionalnych różnic, dostrzega się oddziaływanie tego samego wzoru, wzoru społecznego: chęci utrwalenia teraźniejszości, którą się widzi w barwach tradycji. I dlatego mebli nie wyrzuca się. Kiedy wiek i odbyta służba odbierają meblom ich użytkowość, nowe meble zajmują ich miejsce a stare częstokroć wędrują w kąt, by stamtąd splendoru tradycji dodawać domowi. Jedynie przeprowadzka burzy ten porządek, powiększając zasoby w składach używanych mebli.

* * *

Tu tak rzadko burzy się cokolwiek. Raczej pozostawia się samemu sobie i czasowi, który w tym kraju nie śpieszy się. Opuszczone pałace czy kościoły już od wieków opierają się czasowi. Wiekowe instytucje społeczne, ustawy, kiedy życie wyrosło z nich, pozostawia się w spokoju, by zmarły powolną śmiercią z braku ludzkiego zainteresowania. Utrzymuje się szlacheckie tytuły, liczy się ciągle, który to earl czy lord na tym czy owym zamku czy parku, uszlachconym osobom oddaje się szczery szacunek, choć ich majątki strugą opłat spadkowych i podatków wsiąkają w welfare state, fundusze dla odżywiania dzieci w szkołach, w stypendia dla zdolnej a niezamożnej młodzieży, w opiekę lekarską, zasiłki dla niezdolnych do pracy.

Angielski konserwatyzm idzie w parze ze zdolnością do kompromisu. Arystoteles byłby może zadowolony z angielskich wyznawców teorii złotego środka. Na drogę kompromisu wszedł nawet socjalizm angielski. Fabianie wyrzekli się rewolucji jako środka skracającego czas nadejścia epoki, którą uważają za przyszły złoty wiek ludzkości. W ich rozumieniu rozłożenie procesu twórczego przyszłej epoki na długi łańcuch przemian społeczno-gospodarczych umożliwia wykorzystanie dorobku przeszłości. Stracili wiarę w to, by za jednym zamachem uszczęśliwić ludzkość, ale wytrwali w żmudnej pracy codziennych wysiłków przebudowy stosunków społecznych.

Konserwatyzm angielski, ten konserwatyzm do pół drogi, to nie zwykły konserwatyzm kraju rolniczego, ale konserwatyzm w kraju o wysokim uprzemysłowieniu, coraz bardziej kraju robotników. To zespolenie konserwatyzmu i uprzemysłowienia nadaje kulturze angielskiej sfinksowe oblicze, które już wielu ludzi zmyliło, nie wyłączając proroka Marksa, którego przepowiednie nie spełniły się właśnie co do Anglii.

* * *

To kraj tysięcy lat ludzkimi rękami tworzonej historii, patrzącej na nas z resztek Stonehenge, rzymskich murów, normańskich kościołów, średniowiecznych, gotyckich katedr, tudorowskich pałaców, pstrokatych stylami budowli XIX stulecia. I to wszystko narastało na ziemi i kulturze narodu powoli i głęboko. Z historią chodzi się tu pod ramię, na codzień, bez koturnów i histerii ideologów.

To naród o tak długiej historii, ale równocześnie tak dziwnej dla wielu koncepcji własnej historii, bo stawia pomniki zarówno Cromwell'owi, jak i Karolowi I, choć ten ostatni zginął za sprawą pierwszego; Jerzemu III i Washingtonowi, pomimo, że ten podniósł bunt przeciw swemu monarsze. Takie widzenie historii to po prostu wyraz przekonania, że na nurt historyczny składa się nie tylko to, co po upływie wieków chcielibyśmy widzieć w przeszłości, ale wszystko, co mając w przeszłości znaczenie, tę przeszłość kształtowało bez względu na ocenę potomnych.

* * *

Zmysł do kompromisu, do odnajdywania pośredniej drogi, poszanowania regionalnych ambicji może najjaskrawiej wyraził się w strukturze Commonwealth'u, który jest taką plątaniną, że dość trudno powiedzieć, czym jest, a znacznie łatwiej, czym nie jest. Nie jest federacją, nie jest konfederacją, nie jest zrzeszeniem opartym o jakiś kontrakt. Jest to związek państw, dominiów i kolonii o charakterze bądź to prawnym, bądź ekonomicznym, bądź wspólnego pochodzenia rasowego, na którego szczycie lśni wielkobrytyjski klejnot klejnotów — królewska korona, wzmacniająca uczuciowo różnego rodzaju więzy.

* * *

Królewska korona — monarchia jest jednym z istotnych elementów kultury angielskiej. Monarchia nie jest dla Anglika tylko formą prawno-polityczną, nie jest instytucją, poza którą stoi siła fizyczna państwa, ale jest to niespotykana gdzie indziej siła społeczna. Kiedy w wyniku rozwoju gospodarczego Anglii klasa ziemiańskiej arystokracji straciła znaczenie, monarchia stanęła wprost wobec ludu i z tego zetknięcia wyszła ze wzmożonym wpływem. Monarchia brytyjska to nie tylko panująca osoba, ale to rodzina królewska. Królowie panują i umierają, było tak, że jednego ścięto, że inny abdykował, ale zawsze pozostaje rodzina królewska, która gromadzi doświadczenie i mądrość. Wobec monarchii i jej splendoru blednie wszystko inne w życiu angielskim. Zwycięscy wodzowie, premierzy, nawet bardzo popularni przychodzą i odchodzą cicho, skromnie. Tylko królowie występują z przepychem, na którego wspaniałość składały się długie wieki historii.

W angielskiej wierze w monarchię jest coś z purytańskiej wiary w przeznaczenie losu duszy ludzkiej, jest spokojne przyjęcie czegoś, czego nie można odmienić. W przeciwieństwie do systemów demokratyczno-republikańskich, w których zakłada się, że wolą większości wybiera się najbardziej zdolnych do pełnienia funkcji rządców, Anglicy mają królów bez wyboru, bez wpływu na to, na czas nieograniczony żadnym ludzkim prawem. I do tego losu podchodzą z poddaniem się, z głęboką wiarą.

* * *

Land's End zniknął z oczu, gdzieś daleko za białymi grzywami fal oceanu. Stąd, z tego niczyjego obszaru, wyspy brytyjskie, choć tak drobne geograficznie, rosną w znaczenie społeczno-polityczne. Jak fale rozbijają się o Land's End i skały Dover, tak rasistowski faszyzm rozbił się o te wyspy

(Dokończenie na str. 4)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 września 1953 r.

DYSKUSJE

OPINIA PUBLICZNA

Szanowny Panie Redaktorze!

Przyznaję otwarcie, że byłbym wolał, aby część pierwsza „Notatek", poświęcona „Opinii Publicznej", nie była się pojawiła w ŻYCIU (Nr 35). Jest to bowiem wypowiedź dotycząca naszej polityki wewnętrznej i do tego wypowiedź, która w bardzo przejrzysty sposób wyraża pogląd jednej ze stron tylko. Jest to więc notatka na temat wewnętrzno polityczny, a więc temat, którego ŻYCIE, pismo religijne, a nie polityczne, powinno jak najstaranniej unikać. Autor notatki, J. B., pisarz niezmiernie uzdolniony i wysoce ceniony, ma do dyspozycji niejeden organ prasowy, w którym może swobodnie wyrażać swe poglądy na tematy polityki wewnętrznej. Po co posługiwać się do tego celu pismem, które ma zupełnie inne zadania?

Jeśli zaś chodzi o treść owej notatki, to „Wola Ludu" za żelazną kurtyną jest podobna do „Opinii Publicznej" na wolnym świecie, jak pięść do nosa. Cóż bowiem mogą mieć wspólnego — poza jedynie formą zewnętrzną — okrzyki batem spędzonych i terrorem przymuszanych tłumów ze swobodnie wyrażaną wolą ludzi, którzy przyszli na jakąś manifestację na skutek głębokiego przeświadczenia wewnętrznego. Sądzę, że nawet najbardziej błyskotliwy paradoks nie może sięgać tak daleko, by nie odróżniać treści od formy.

Przy tej sposobności chciałbym podkreślić, że coraz częściej powtarzający się w naszych pismach emigracyjnych zwyczaj stawiania na jednej płaszczyźnie rzeczy, które dzieją się w systemie sowieckim, ze zjawiskami świata wolnego uważam za niebezpieczny. Dla doraźnego efektu bowiem zaciera się różnice między dwoma światami i sprowadza się to, co jest następstwem dwu zasadniczo odmiennych zasad, do li tylko różnicy odcieni, pozbawiając nas tym samym moralnego prawa oburzania się, gdy coś podobnego czynią n. p. Anglicy. Dla pełnej jasności zastrzegam się, że oczywiście nie myślę tu o wypadkach, gdy pewne zjawiska w obu światach rodzą się z tego samego podłoża, a więc n. p. ze wspólnego pnia światopoglądu materialistycznego.

Zdanie J. B., że „opinia publiczna to nic innego, jak bek barani", jest niewątpliwie tylko pośliznięciem się autora. Brzmi ono doskonale w ustach zwolennika ustroju autorytatywnego, w żadnym zaś wypadku w ustach demokraty. Wystarczy przecież obserwacja życia politycznego angielskiego, aby przekonać się, jak dużą rolę w tym kraju odgrywa właśnie opinia publiczna. Nawet na własnym podwórku mamy tego dowód w postaci sukcesu akcji protestacyjnej w sprawie biblioteki PUCu. I niewątpliwie w Anglii polityka, który by publicznie określił opinię publiczną jako „bek barani", ta właśnie opinia publiczna zmiotłaby ze sceny politycznej. Kraje zaś, w których — jak n. p. we Francji — politycy przenoszą interesy swych grup i grupek ponad głos opinii publicznej, są krajami, w których demokracja jest chora.

Zgadzam się zupełnie z J. B., że w ustrojach demokratycznych społeczeństwo ma dość sposobów, aby swoją wolę ujawniać konkretnymi sposobami. I właśnie dlatego jestem gorącym zwolennikiem tego, aby i polskiemu społeczeństwu emigracyjnemu te konkretne sposoby wyrażania swej woli umożliwić. Ci bowiem, którzy z jednej strony nie chcą uznawać żadnych innych głosów opinii publicznej, niż wyrażonych przy pomocy owych „konkretnych sposobów", z drugiej zaś sprzeciwiają się, aby sposoby te wprowadzić w życie, łacno narazić się mogą na zarzut, że ich stosunek do demokracji jest taki, jak junkrów pruskich do absolutyzmu: „und der König absolut wenn er unseren Willen tut".

Nie trzeba wcale być detektywem, by zrozumieć, że to, co J. B. wziął za złe w swych „Notatkach", to była strona polityczna wypadów w Albert Hallu. Ale przecież ta sama opinia publiczna wyraziła się nie tylko okrzykami, które J. B. tak raziły, ale również i w najbardziej demokratyczny sposób, przytłaczającą większością głosów, na Zjeździe światowym największej polskiej organizacji emigracyjnej.

I dlatego też jestem zdania, że wielki błąd popełniliby ci politycy polscy, którzy by zlekceważyli ten głos opinii publicznej. W zdrowym bowiem społeczeństwie demokratycznym przywódcy polityczni decydują o tym „jak", o tym jednak „co" decyduje opinia publiczna.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Dr Tadeusz Felsztyn

*

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem przeczytałem w ŻYCIU z dnia 30 b. m. w artykule „Notatki" podpisanym J. B., zdanie o „opinii publicznej".

Przyznaję, że z trudem własnym oczom wierzyłem. Najmniej bowiem spodziewałem się, ażeby, po uderzeniu przez Konfederację w stół naszych od lat trwających potępieńczych a jałowych swarów politycznych, w taki dziwny sposób odezwały się nożyce w katolickim piśmie.

Czyżby według Panów nie to było dowodem upadku naszej kultury politycznej, że od wielu długich lat, na skutek braku jedności wśród polityków, z ich winy cała emigracja polityczna nie spełnia swego zadania i zaprzepaszcza sprawę polską, gdy Naród obezwładniony cierpi w więzieniu komunistycznym? Czyżby według Panów raczej fakt, że Konfederacja pragnie wyrazić opinię przytłaczającej większości Polaków, domagającej się w swej ulotce:

1. zespolenia wysiłku całego uchodźstwa w walce o wolność Ojczyzny,
2. opracowania wytycznych dla przyszłego ustroju Rzeczypospolitej w oparciu o zasady chrześcijańskie, tj. o zgodną, życzliwą współpracę dla wspólnego dobra, a nie, jak dotychczas, na nienawiści i walce klas — czyżby to miało być wyrazem upadku kultury politycznej?

Czyżby według Panów nie politycy obu od lat skłóconych Rad, narodowej i politycznej, zasługiwali na naganę, jeno ci, wyrażający opinię publiczną przytłaczającej większości, żądającej zaprzestania tej gry? Czyż doprawdy uważacie Panowie, że owa opinia publiczna „to nic innego jak bek baranów"? Nie mogę w to uwierzyć — mimo że tak napisaliście Panowie.

Przecież konkretny sposób, w jakim społeczeństwo w ustrojach demokratycznych wyraża swą wolę polega właśnie, między innymi, na ulotkach. Szczególnie wtedy, gdy jego politycy w tak niegodny sposób, przez lata całe nie czynią tego, czego opinia publiczna od nich żąda.

Politycy tak postępujący tracą prawo do reprezentowania obywateli i zawisają w próżni. Trzeba im to ulotkami przypominać, skoro nie chcą tej prawdy widzieć. Przecież tylko ten wyraża opinię publiczną, kto pisze to i czyni tak, jak większość obywateli tego wymaga.

Dla nikogo chyba nie ulega wątpliwości, że wszyscy chcemy zgody. Dlaczego więc jej nie mamy? Dla mnie nie ulega i dla Panów chyba ulegać nie może wątpliwości, iż zgoda jest do osiągnięcia jedynie na chrześcijańskich zasadach tj. na drodze życzliwej, zgodnej współpracy dla wspólnego dobra, a nie na pogańskiej walce egoizmów.

W tym wszystkim najradośniejszy jest fakt, że „szary człowiek" (nie lubię tego określenia, gdyż ów „szary" często jest jaśniejszy od swej elity) rzeczywiście przestaje ulegać terrorowi polityków, którzy przestali czynić jego wolę, a idzie za wyrazicielami jego opinii, w tym wypadku za Konfederacją i „Młodymi", jak to pan J. B. ze smutkiem stwierdza.

Proszę o umieszczenie powyższego w ŻYCIU oraz o przyjęcie wyrazów mego głębokiego szacunku.

Bogdan Wielkopolski

*

Autorzy listów postawili zagadnienie „na gorąco", mimo to nie jesteśmy zdania, aby podjęcie dyskusji odbiegało od założeń i celów, jakim służy ŻYCIE. Pismo religijne nie powinno unikać tematów politycznych. Gdyby dr Tadeusz Felsztyn pozwolił „stawiać na jednej płaszczyźnie rzeczy, które się dzieją w systemie sowieckim ze zjawiskami świata wolnego", rzekłbym, że pogląd przeciwny głoszą za żelazną kurtyną. Autorami polityki są ludzie i jej ramy wyznacza etyka, a ta wypływa z religii. Polityka wewnętrzna jest także najoczywiściej zagadnieniem religijnym i to nie tylko moralnym. Czyżby dr Felsztyn, człowiek tak ogromnej wiedzy i kultury, był rzeczywiście zdania, że z punktu widzenia religijnego nie ważne jest co czyni z narodami komunizm, socjalizm albo dyktatury? Czy programy wewnętrzno-polityczne i jawna niemoralność w polityce są rodzinie sprawami dla katolików obojętnymi? Czy każdy, dosłownie każdy punkt programów politycznych, od wychowania dzieci poczynając a na związku Kościoła z państwem kończąc, to tylko i wyłącznie domena ściśle polityki?

Gdybym miał entuzjazm P. Bogdana Wielkopolskiego, zapisałbym się do jego „Konfederacji", gdyż poczciwa ta grupa głosi pogląd skrajnie przeciwny takim tendencjom dra Felsztyna, równie zresztą nierealny, a mianowicie o konieczności budowania powszechnego Państwa Bożego na ziemi. Ale nawet Kościół-Matka nasza zarzuciła już przed wiekami ów maksymalizm, a to dlatego, aby nie być stroną w grach politycznych, lecz nauczycielem i przewodnikiem.

Politykę winno się uprawiać poza Kościołem, ale Kościół musi mieć wpływ na nią. Ponieważ z woli Bożej my wszyscy, niegodni ludzie, stanowimy Kościół, tedy naszym obowiązkiem jest mieć katolicki wpływ na każdą politykę wewnętrzną. Nie trzeba tego poglądu dwa razy podkreślać w rocznicę kanonizacji Biskupa Krakowskiego, który krwią u stóp ołtarza zaświadczył, że Kościół stoi na straży prawa naturalnego i objawionego i wynikających stąd konsekwencji.

W listach powyżej wydrukowanych wyrażono dwa poglądy: 1) że opinia publiczna, to najwyższy regulator życia społecznego i 2) że politycy polscy na emigracji „utracili prawo do reprezentowania obywateli", ponieważ nie osiągnęli jedności.

Od lat trwające ujadanie na polityków polskich wydaje nam zaiste świadectwo niedorozwoju społecznego. Przyjmijmy, że politycy porzucą pewnego pięknego dnia wszystkie swoje praktyki. Po prostu dadzą do gazet drobne ogłoszenie: „Wobec nacisku Opinii Publicznej zawiadamiamy uprzejmie, żeśmy rozwiązali partie polityczne i zaprzestali wszelkich politycznych czynności." Cóż się wówczas stanie? Zapewne zaczną się rządy Opinii Publicznej. Zejdą się reprezentacje „Konfederacji", „Młodych" i bezpartyjnych hosteli. Obiorą marszałkiem Zygmunta Nowakowskiego, który jest partii politycznych wrogiem nr 1. Sformują pochód i ewentualnie wzniosą szereg okrzyków, co zawsze dobrze robi, gdy się jest bezpartyjnym. I co dalej? Albo wrócą do domu, albo — zaczną robić politykę. Ponieważ jednak „Konfederacja" ma drobne różnice zdań z Zygmuntem Nowakowskim, więc powstaną dwie — strach pomyśleć! — partie, które będą robić politykę. „Młodzi" zapewne, idąc z duchem czasu, utworzą osobną grupę, a hostele rozłamią się zaraz po pierwszej sesji na jakieś skromnie licząc trzy partie (powiedzmy Szkocja, Midland i Londyn).

Poza tym — czy już obecnie n. p. „Konfederacja" nie głosi własnego programu politycznego? Czy jej kto tego zabrania? Dlaczego więc rzuca gromy na inne grupy polityczne, przywłaszczając sobie w dodatku prawo do sądzenia, co jest a co nie jest chrześcijańskie?

W inkryminowanych „Notatkach" pisałem o Opinii Publicznej (przez duże P), a nie o opinii publicznej (przez małe p). Opinia publiczna (przez małe p), to właśnie praktykowanie demokracji, natomiast Opinia Publiczna (przez duże P), to fetysz i fałszywa moneta, puszczona w obieg dla doraźnych celów monopartyjnych.

Nie wiem, o co drowi Felsztynowi chodzi, kiedy pisze, że „opinia publiczna wyraziła się nie tylko okrzykami, ale również i w najbardziej demokratyczny sposób, przytłaczającą większością głosów, na Zjeździe światowym największej polskiej organizacji emigracyjnej". Przestańmy się zakłamywać na łamach pisma katolickiego. W światowym Zjeździe największej polskiej organizacji emigracyjnej, czyli Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, wzięli udział delegaci z których każdy prócz swojego Oddziału reprezentował także jakąś partię polityczną. Nie byli oni zatem wyrazicielami żadnej innej opinii, jak tylko opinii stronnictw politycznych, które są w dzisiejszym świecie jedynym narzędziem prawdziwej opinii publicznej. Ze zdumiewającą nielogicznością zwolennicy Opinii Publicznej powołują się na uchwały Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, gdzie — powtarzam — wszyscy delegaci byli wyrazicielami poglądów konkretnych partii politycznych.

Otóż nam tu chodzi o prawdę. Jest rzeczą obywateli, czy wolą rządy tzw. sanacji, czy endecji, czy Stronnictwa Pracy, takiego czy innego Prezydenta lub premiera. Wolno społeczeństwu poglądy swe głosić i wyrażać, jak tego pragnie — wiecami, ulotkami, przez prasę. Nie wolno jednak nikomu z katolickiego punktu widzenia czarnego nazywać białym, siać zamętu przez używanie fałszywych haseł i fałszywych oskarżeń. Głosząc dywersyjne poglądy dla własnych celów partyjnych nazywać ich Opinią Publiczną. Dążyć do złych celów, do anarchii lub monopartii, głosząc oszukańcze frazesy. Nie wolno przywłaszczać sobie opinii publicznej i czynić straszaka ze zdrowego rozsądku obywateli.

Jeżeli przyjmiemy, że partie polityczne straciły oparcie w narodzie i wobec tego są fikcją, czyż nie to samo odnosi się do rządu, a tym bardziej do tych jednostek, którym zdaje się, że reprezentują naród? Niech mi dr Felsztyn łaskawie wytłumaczy, na czym polega różnica. Czy tylko na tym, że jedni są „swoi", a drudzy nie swoi?

J. B.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE „DAILY MIRROR"

Pięćdziesiąt lat temu ukazał się pierwszy numer dziennika „Daily Mirror" — pisma, które oceniać można bardzo krytycznie, ale które zdobyło rekord w zakresie powodzenia na rynku czytelniczym w Anglii.

Początki jego nie były tak sensacyjne. Wprawdzie już pod pierwszym swym właścicielem, lordem Northcliffe, zdobyło ono pokaźny nakład 290.000 egzemplarzy, dochodząc w parę lat potem do 1.210.000, kiedy jednak lord Northcliffe sprzedał je w r. 1931 swemu bratu lordowi Rothermere, nakład „Daily Mirror" zaczął stopniowo spadać.

Punkt zwrotny nastąpił w r. 1934, kiedy kierownictwo pisma objęli nowi ludzie, którzy nadali „Daily Mirror" nowy typ, jak się okazało bardzo pociągający dla szerokich rzesz publiczności czytającej. „Rewolucję" tę opisuje jeden z redaktorów pisma Hugh Cudlipp w książce, wydanej właśnie z okazji 50-lecia pt. „Mirror. Publish and Be Damned".

Hasłem redakcji w stosunku do czytelników stało się: „shocking them and socking them" (wstrząsać nimi i walić w nich), walić jak młotem wielkimi czarnymi nagłówkami, uderzać w tematy, istotnie interesujące ludzi, to jest — jak pisze Cudlipp — „sex and crime" i przybierać przy tym grymas łobuza. Karykaturom (cartoons) i seriom komicznych rysunków (comic strips) zaczęto dawać więcej miejsca niż poważnym wiadomościom.

Za tym wszystkim — twierdzi Cudlipp — krył się plan starannie obmyślony. „Ci młodzi ludzie postanowili wedrzeć się pod skórę czytelnika i tam pozostać. Wszyscy oni byli na swój sposób laickimi psychologami. Większość z nich pochodziła z warstw pracujących lub ze stanu średniego na prowincji brytyjskiej; znali oni istotnie i wypróbowali na własnej skórze aspiracje i zawody, radości i bolączki milionów szarych ludzi, których postanowili zabawiać i pouczać."

Te nowe metody doprowadziły do tego, że nakład pisma wynosi dzisiaj 4.500.000 egzemplarzy, co stanowi w codziennej prasie świata rekord.

W czasie wojny — jak opowiada Cudlipp — pismo było przedmiotem surowych reprymend ze strony premiera Churchilla. W liście do redaktora „Daily Mirror" zarzucił on temu pismu ni mniej ni więcej tylko, że podważa ono pozycję rządu koalicyjnego i osłabia wysiłek wojenny w najbardziej niebezpiecznej dla narodu chwili. Pod wpływem tych zarzutów „Daily Mirror" zmienił swój ton, ale różne spięcia tego rodzaju nie ustały.

„CONFIDENTIAL CLERK" W LONDYNIE

Sztuka T. S. Eliota „The Confidential Clerk", która odniosła taki sukces na festiwalu edynburskim, pojawiła się wreszcie w Londynie. Od 14 września gra ją teatr „Lyric" przy Shaftesbury Avenue.

JESZCZE JEDEN KONGRES LEKARSKI

W londyńskiej Central Hall obradował ostatnio międzynarodowy kongres terapii fizycznej przy udziale przedstawicieli jedenastu krajów. Otwarcia kongresu dokonał minister zdrowia Jain Macleod. Dyskutowane były szeroko zagadnienia paraliżu i leczenia go.

PO FESTIWALU EDYNBURSKIM

Festiwal edynburski odniósł w tym roku niewątpliwie ogromny sukces. Obok sztuki Eliota „The Confidential Clerk" drugim wydarzeniem teatralnym było wystawienie „Ryszarda II" Szekspira przez paryski „Théatre National Populaire" pod dyrekcją Jeana Vilara. Aktorzy posługiwali się przekładem francuskim, dokonanym prozą, dekoracje zredukowane były do minimum, a mimo to, jak stwierdza Ivor Brown w „Observerze", „czar działał".

Wśród znakomitych dyrygentów, którzy brali udział w festiwalu, znalazł się nie tylko Włoch Previtali, dyrygent rzymskiej orkiestry symfonicznej, ale także Bruno Walter i Furtwängler.

„ODKRYCIE WIARY"

(Dokończenie ze str. 2)

mniej nie potrafiła, w sposób zbliżony choćby do kompletności, ująć obrazu rzeczywistości. „Istnieją podstawy do przypuszczenia, że ten obraz jest czymś w rodzaju wyimaginowanej przez umysł ludzki konstrukcji rzeczywistości, która jest i musi pozostać niedostępna dla naszego poznania" (str. 151). Zarzut podnoszony pod adresem religii, że opiera się na elemencie imaginacyjnym, stosuje się z tym samym uzasadnieniem do nauki. Joad stwierdza, z przytoczeniem szeregu przykładów, że współczesna nauka operuje stale supozycjami i hipotezami. Świadomość ograniczoności umysłu ludzkiego w ujęciu rzeczywistości otaczającej człowieka jest przy tym tylko jedną stroną zagadnienia. Religia twierdzi, że istnieją dwa porządki — naturalny, przyrodzony i nadprzyrodzony; jest to, zdaniem Joada, ujęcie słuszne i wynika z tego, że nauka, której zdolność poznawcza nie sięga poza sferę naturalną, nie może być uważana za przewodnika w sprawach nadprzyrodzonych.

Musimy, niestety, powstrzymać się od streszczenia niektórych rozdziałów książki zawierających większą, niż inne, dozę rozważań filozoficznych. Jak już wspomnieliśmy, książka nie stanowi systematycznego wykładu doktryny chrześcijańskiej, nie jest apologetyką chrześcijańską, choć było to zamierzeniem autora. Zdaje on sobie sprawę z trudności napisania takiej książki, tym bardziej, że najważniejsze dogmaty wiary, jak inkarnacja, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie Chrystusa Pana nie dadzą się wytłumaczyć sposobem rozumowym, są „credenda, quia impossibilia".

Że jednak wiara nie może być sprzeczna z rozumem, to, zdaniem Joada, musi być dla współczesnego inteligenta warunkiem przyjęcia wiary jako drogowskazu życiowego. Joad przytacza szereg argumentów na rzecz tej zgodności wiary z rozumem. Wydaje mu się, że historii chrześcijaństwa nie można wytłumaczyć inaczej, niż na podstawie jego pochodzenia nadprzyrodzonego i poparcia Boskiego mu udzielonego. Wszakżeż apostołowie byli ludźmi prostymi i niewykształconymi, a z początku w dodatku niepewnymi siebie, zastraszonymi wrogością swych przeciwników. Jakżeż ludzie tego kalibru mogli dokonać takiego przewrotu, mogli wywrzeć tak przemożny wpływ na umysły obywateli potężnego imperium rzymskiego, które porzuciło starych bogów i stało się imperium chrześcijańskim! Tylko ludzie przekonani, bez cienia wahania czy wątpliwości o prawdzie głoszonych przez siebie artykułów wiary, a w szczególności o Zmartwychwstaniu i tylko ludzie, którzy stale otrzymywali wsparcie od Boga za pośrednictwem Ducha Świętego, mogli dokonać takiego dzieła.

Dalej, dla Joada nie ulega wątpliwości, że jaskrawe wybryki popełniane przez tylu dygnitarzy najwyższej hierarchii kościelnej, że okrucieństwo i nieludzkie zachowanie we wzajemnych stosunkach między narodami chrześcijańskimi musiałyby już dawno doprowadzić do upadku chrześcijaństwa, gdyby sprawy te traktować zgodnie z porządkiem naturalnym. Tylko instytucja pochodząca od Boga mogła ostać się mimo takiego bilansu. Joad przytacza — za Boccaciem — historię Żyda, który w okresie największego rozkwitu Odrodzenia przybył do Rzymu w poszukiwaniu nowej religii. Przez kilka miesięcy był świadkiem rozwiązłości moralnej, zbrodni, skrytobójstwa, przekupstwa, korupcji, zbytku, sąsiadującego z nędzą itd. W końcu prosił o przyjęcie do Kościoła katolickiego uzasadniając to tym, że tylko ta religia może być prawdziwa, która żyje i istnieje wbrew takim ekscesom swych przedstawicieli.

Religia chrześcijańska zawiera sporo elementu arbitralnego, czego nie wykazuje np. mistycyzm hinduski, tak popularny w niektórych kołach intelektualistów angielskich. Jednak, w przeciwieństwie do buddyzmu, religia chrześcijańska ma zdolność wpływania na życie ludzkie. Bóg personalny chrześcijanina interesuje się jego życiem, pomaga mu, wspiera go w trudnościach i kłopotach życiowych, prowadzi go po drabinie zasług do celu ostatecznego.

W sposób prosty i niewyszukany Joad konstatuje, że modlitwa, że wzniesienie się do Boga, daje jemu przynajmniej otuchę, pomaga mu pokonywać przeszkody moralne i życiowe.

„Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego" — oto akcent, którym kończy się książka-testament Joada. Pan Bóg był łaskaw dla niego — pozwolił mu ujrzeć światło wiary, zanim zamknął księgę jego żywota doczesnego.

M. Ch.

P. S. — Czytelnikom, których zagadnienie stosunku wzajemnego nauki i wiary interesuje, warto zwrócić uwagę na przemówienie inauguracyjne Sira Edwarda Appleton'a, prezydenta British Association (for the Advancement of Science), obok Royal Society — naczelnej organizacji naukowców brytyjskich — na tegorocznej sesji tej organizacji, o którym pokrótce wspomnieliśmy w poprzednim nrze ŻYCIA. Jest ono, jak świadczą poniższe wyjątki, wymownym przykładem nowej postawy przedstawicieli nauki i odwrotu jej z pozycji jedynego instrumentu poznania rzeczywistości. Nauka, jak to już kiedyś zaznaczyliśmy, stała się pokorniejsza. Oto wyjątki z przemówienia Sir Edwarda Appleton'a:

„Najbardziej chyba rzucającym się w oczy faktem w zakresie nowoczesnej nauki ścisłej w jej poszukiwaniach odkrywczych, sięgających od sprawy jądra atomowego aż po granice wszechświata, jest to, że, podobnie jak poezja i jak filozofia, odsłania ona głębie i tajemnice, które przekraczają ten zwykły i przyjmowany jako taki świat, do którego przywykliśmy, co więcej — i to jest szczególnie ważne — zgoła różne od tego świata. Można powiedzieć, że nauka ścisła oddała z powrotem wszechświatowi właściwość niewyczerpanego bogactwa i nieoczekiwaności i zdolności budzenia podziwu, którą — zdawało się w pewnym momencie mu zabrała.

„Nie potrzebuję chyba moim słuchaczom przypominać, że działalność naukowa jest dwojakiego rodzaju. Możemy czynić obserwacje i eksperymenty — to jest zbierać fakty. Możemy też starać się zrozumieć, jak te fakty układają się w pewną całość. Dajemy wyraz istnieniu porządku, gdy go dostrzegamy wśród mnogości faktów w formie hipotezy lub teorii. Teoria, powiedzmy sobie mimochodem, jest tylko hipotezą, która stała się niejako przedmiotem poważania. Ale i wtedy nie nabrała ona charakteru finalnego.

„...Starałem się wykazać, że nauka ścisła... może rozszerzyć horyzonty ludzkie i nadać światu głębsze znaczenie. Potraktowana jako ćwiczenie może uchodzić za jedno z najbardziej skomplikowanych i dalekosiężnych naszych doświadczeń umysłowych. Nie powinniśmy jednak zapominać, że są inne wartości i inne doświadczenia. Na biegunie przeciwległym naszym usiłowaniom naukowym istnieją drogi myśli nie zmieniające się, które zajmują się tym, co n i e jest nowe, zajmują się sprawami, które nie pogrążą się w cieniu; dzisiaj nasuwa się właśnie bardziej niż kiedykolwiek potrzeba tych wartości trwałych i krzepiących. Wiemy dobrze, że jeśli chodzi o dziedzinę wiedzy ścisłej, dzieło nasze kiedyś w przyszłości będzie prawdopodobnie czymś przestarzałym, a z pewnością wyprzedzonym przez nowe odkrycia. W każdej niemal chwili możemy się znaleźć w sytuacji, że ledwo dotykać będziemy jakiejś prawdy przejściowej i świadomość tego ciągle nas pcha do szukania nowych prawd i nowego rozumienia rzeczy. Obawiam się, że na tej drodze możemy stać się nieczułymi na inne aspekty życia, które mają również swoje wartości. Istnieje bowiem cnota zadowolenia, zaspokojenia się rzeczami, które już posiadamy, cnota, w której nie może nas wychować wiedza ścisła. Nasze powołanie, innymi słowy, nie obejmuje całości życia, gdyż nie może zaspokoić wszystkich naszych potrzeb."

Good bye, England

(Dokończenie ze str. 3)

w śmiertelnym zmaganiu niespełna dziesięć lat temu i w codziennej walce idej rozbijają się wszelkie „izmy", które niosą z sobą przekreślenie praw jednostki na rzecz totalizmów.

* * *

O te drobne wyspy zaczepiła się w wyniku ostatniej wojny spora garść Polaków, wygnanych z rodzimych siedzib. Ludzie ci, których chciano uczynić dożywotnimi mieszkańcami strzeżonych obozów, znaleźli na tych wyspach schronienie i swobodę rozwijania życia w służbie swych narodowych ideałów. Dziś jest poza Polską i polski Londyn; polski — bo z polskimi instytucjami religijnymi, politycznymi, społecznymi i artystycznymi.

* * *

Za dawnych spokojnych czasów wyspy te były dla większości Polaków krajem na poły egzotycznym, w którym żyli podobno tylko lordowie, lubiący sport i konie i rządzący rozległymi koloniami. Dla nas jest to kraj ciężko pracujących ludzi, czy to górników, czy robotników fabrycznych, czy rolników, ale jest to równocześnie kraj wolności przekonań.

Mówiąc good bye Anglii, jej urządzeniom społeczno-politycznym, dodaje się polskie do widzenia Polakom osiadłym na tej wyspie i polskim instytucjom, które setkami kół i sekcji pokryły te wyspy.

Dziwne, ale istotnie tak jest; opuszczając Anglię, mówi się good bye po
do widzenia.

Jan Wepsięć
(Waszyngton)

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 8879. Drukarnia PAD 9.34. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja nadesłanych rękopisów nie zwraca. [illegible] PRENUMERATA [illegible] Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: [illegible] ARGENTYNA [illegible] FRANCJA [illegible] NIEMCY [illegible] SZWAJCARIA [illegible] SZWECJA [illegible] 22-nd Street Bayonne, N. J. [illegible] Gryf Publications, 508, Wager st. Utica, 3; Baginski, 5080, Cass Avenue, Detroit, 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2.